

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 25-go marca 1944r.

Rok VI. Nr. 12

ROZBROJENIE NIEMIEC

Nawet najbardziej "humanitarnie" i pacyfistycznie nastroszone koła chyba zgodne są dzisiaj w tym punkcie, iż po pokonaniu Niemiec nastąpić musi trwała i wszechstronne ich ubezwładnienie, iż przewidziane w artykule VIII Deklaracji Atlantycznej "rozbrojenie narodów, zagrażających lub mogących zagrażać agresją" musi stać się równie totalne jak wojna, którą te narody potrafiły narzucić światu.

NAUKA WERSALU

Twórcy Traktatu Wersalskiego mieli co prawda również ten sam cel na oku. Jednak nie posunęli oni się dostatecznie daleko ani pod względem trwałości obranych środków, ani pod względem ich wszechstronności.

Wśród środków o charakterze trwałym, przynajmniej wedle zamierzeń autorów Traktatu, figurować miało tylko ograniczenie armii niemieckiej do 100.000 ludzi, odebranie Rzeszy większości uzbrojenia (przy zakazie dalszej jego fabrykacji), a wreszcie demilitaryzacja Nadrenii. Wszystkie inne zarządzenia miały charakter z góry określony jako przemijający, obliczony na okresy czasu, z których najdłuższy nie miał przekraczać 15 lat. Taki to charakter miała n.p. okupacja lewego brzegu Renu i przyczółków mostowych Kolonii, Koblencki i Moguncji. Nie wiele też od tamtych środków różniło się w skutkach odłączenie od Rzeszy terytorium Saary.

Sama zasada stopniowego usuwania okupacji z obszaru niemieckiego była z punktu widzenia wojskowego pomysłem poronionym, choćby tylko dlatego, iż słabnięcie i zupełne ustanie działania tego środka zbiegało się w czasie właśnie z okresem, kiedy niemiecki duch odwetu i napaściwości — po przebytej depresji — zaczynał teżać na nowo. Interes wojskowy Aliantów wymagał uwzględnienia tego momentu i położenia daleko silniejszego nacisku na stosowanie środków trwałych, choćby nawet w najbliższych granicach.

Zastosowane wówczas metody rozbrojenia szwankowały również i z innego powodu. Wychodziły one z całkowicie mylnego założenia, jakoby dla unieszkodliwienia Niemców wystarczyło zachować je strategicznie od Zachodu, nie troszcząc się o zabezpieczenie Wschodu. Wiadomo, iż żaden ze wspomnianych środków nie miał odpowiednika w postaci podobnych zarządzeń w odniesieniu do terytorium Rzeszy, graniczącego z Polską i z Czechosłowacją. Temu założeniu przypisać należy w dużej mierze, iż widoki Polski na otrzymanie Prus Wschodnich rychło okazały się jeszcze słabsze, niż szanse Francji oparcia swej obrony o Ren. Wiadomo, do jakiego stopnia owa dążność do nierównomiernego traktowania obrony zachodu i wschodu Europy miała następnie zaciążyć ujemnie i na politycznym myśleniu Europy, gdy szło o kształtowanie systemu bezpieczeństwa zbiorowego.

W tej chwili jednak chodzi nam o inne strony przyszłego rozbrojenia Niemiec, a w szczególności o wszechstronność środków, które mają być zastosowane. Początkową swoją przewagę w obecnej wojnie Niemcy zawdzięczały m.in. temu, że potrafiły uruchomić i zmobilizować na rzecz swojego potencjału wojennego czynniki, normalnie nie

brane pod uwagę. Ten moment, między innymi, odegrał dużą rolę w ich taktyce zaskoczenia. To też jeżeli chcemy istotnie na przyszłość udaremnić ich dalsze rozbójnicze wypadki, to rozbrojeniem będą musiały być objęte w sposób trwały te wszystkie płaszczyzny bytu narodowego Niemiec, które — choćby w perspektywach na pozór odleglejszych — stanowią część składową ich armatury wojennej.

Dla całkowitego zatem zniweczenia potencjału wojskowego Niemiec, rozbrojenie przeprowadzone będzie musiało być w całym szeregu dziedzin, jak wojskowa /odebranie terytoriów, zapewnianie Niemcom przewagę strategiczną nad sąsiadami/, polityczna /rozczłonkowanie Rzeszy/, moralna /reedukacja ostatnich pokoleń/, gospodarcza /zlikwidowanie, względnie przeniesienie do innych krajów ciężkiego przemysłu, zdolnego do produkowania materiału wojennego i t.p./. Poza tymi jednak, przykładowo tylko podanymi formami rozbrojenia, istnieją jeszcze jedna, niesłychanie ważna, której charakter społeczny zdaje się na pierwszy rzut oka odbierać wszelkie pozory związku przyczynowego z potencjałem wojennym Niemiec. Postaramy się tu wyjaśnić jej istotę i znaczenie.

NIEMIECKI KULT PAŃSTWA
Historia Niemiec opowiada w jaskrawe dowody, iż społeczeństwo niemieckie nie zdradzało nigdy najmniejszego zamiłowania do stanowienia o swoim własnym losie, ani też zdolności do przeciwstawiania się uciskowi pochodzącemu z wewnątrz i do bronięcia się przed despotyzmem rządzącej oligarchii. Jeżeli zdarzały się w dziejach Niemiec wybuchy zbiorowego niezadowolenia, to kończyły się one z reguły szybko i bezwarunkową kapitulacją narodu niemieckiego przed uświęconą od wieków władzą jego panów. "Panowie" ci świadomi zresztą byli tego rysu charakterystycznego umysłowości swych poddanych. Już Fryderyk Wielki powiedział, iż "rolą ludu nie jest pytać się dlaczego, lecz robić co każą i umierać".

Parlamentaryzm, demokracja, prawa jednostki — to twory zagraniczne, duszy teutońskiej całkowicie obce, to jak gdyby pogwałcenie odwiecznych tradycji germańskich. Próba demokratyzacji Rzeszy po klęsce w r. 1918 była przez olbrzymią większość społeczeństwa niemieckiego przyjęta i traktowana jako naturalne następstwo poniesionej porażki, w tym samym mniej więcej stopniu, jak jest nią próba nazifikacji czy faszyzacji Francji po jej załamaniu się w 1940 r.

Paradoksalność sytuacji doszła do szczytu z chwilą, gdy prezydentem republiki weimarskiej został stary junker Hindenburg, który całe życie swoje spędził w kasarni i który z zasadami demokracji nie miał absolutnie nic wspólnego. "Stary feldmarszałek nie widzi żadnej różnicy między zmianianiem niemieckich kanclerzy a zmianianiem szefów sztabu generalnego podczas wojny" — miał powiedzieć Brüning, otrzymawszy z rąk Hindenburga dymisję ze stanowiska kanclerza Rzeszy.

Całą tą, politycznie bezwładną, niewyrobioną i bezwolną masą ludzką, składającą się na pociecie narodu niemieckiego, rządziły zawsze i nigdy nie przestały rządzić — pod wyłącznym kątem

widzenia swych własnych interesów — trzy grupy społeczne: wysocy wojskowi, ciężki przemysł i banki, oraz wielka arystokracja ziemska. W obliczu tego, na wskroś elitarnego zespołu rządzącego, zwykły obywatel nabierał pewnego znaczenia dopiero z chwilą, gdy zaczynał służyć państwu czyli wypadkowej interesów tych trzech czynników władzy.

Dla opartego na takich przesłankach państwa, wojna staje się najwyższym objawieniem suwerenności i ostatecznym, nieuniknionym celem wszystkich dążeń i wysiłków. "Stan wojny — jak mówi Hegel — ukazuje dopiero wszechwładzę państwa. Państwo i ojczyzna są wtedy potęgą, która przekonuje jednostki, iż ich niezależność i swoboda są niczym." To też Niemcy byli zawsze i nigdy nie przestali być państwem militarystycznym, czyli państwem, w którym wojskowość dochodzi do znaczenia czynnika rządzącego, niezależnego od władzy cywilnej i przeprowadzającego własne cele i ideały polityczne.

Jeśli ani zwycięskie mocarstwa sprzymierzone, ani republika weimarska nie potrafiły wyrwać władzy z rąk tych trzech czynników, aby ją oddać w ręce narodu, zmiany, jakie zaszły w ówczesnym układzie sił politycznych Rzeszy, musimy uważać za czysto pozorne. Ponadto — w myśl prawa dżungli — republika skazała siebie samą na niechybną śmierć. Hitlerizm, który przyszedł na jej miejsce, nie jest przecież w gruncie rzeczy niczym innym, jak nowym wydaniem tej odwiecznej germańskiej rzeczywistości politycznej, jak usiłowanie powiązania na nowo w heglowskie państwo-absolut tych właśnie trzech czynników, czasowo tylko porażonych gromem klęski 1918 r.

To też program całkowitego rozbrojenia Niemiec, które ma być przeprowadzone przez Zjednoczone Narody w okresie reżemu, nie może pominąć unicestwienia potęgi politycznej żadnej z tych trzech grup. Armia niemiecka i przemysł wojenny są niewątpliwie już dziś na pierwszym planie każdego programu rozbrojenia. Jednak w odnośnych rozważaniach stale jeszcze na uboczu pozostaje czynnik trzeci, który właśnie w całym rozwoju militarystyki pruskiej odegrał rolę pierwszorzędną, a pod wieloma względami — w stosunku do tamtych dwóch czynników wprost — nadrzędną.

KLASA LUDZI WOJNY

Chodzi tu o klasę junkrów pruskich. Z pokolenia na pokolenie rodziny ich przechowują pruską tradycję bezwzględnych podbojów, która do szpiku kości przeżarła niemiecką umysłowość, religię, etykę, wiedzę, filozofię i politykę. Ich to wysiłkiem przypisać należy spruszenie Niemiec. One to głosili najwastaniejsze elementy "wiary" nazistowskiej na długo przed przyjściem Hitlera. One go wykryły i pomogły mu do objęcia władzy.

Ta kasta, obejmująca kilkadziesiąt rodzin pruskich, wydała z siebie Clausewitzów, von Schlieffenów, Bismarcków, von Seecktów, Ludendorffów, Hindenburgów, von Pappenów, Brauschitzów itp. Wszystkie wyższe stanowiska w niemieckim sztabie generalnym i w armii z dawien dawna zmonopolizowane są przez członków tych właśnie rodzin. Pradziadkowie ich pomagali Fry-

derykowi Wielkiemu w jego napaściach i w rozbrojeniu Polski, dziadkowie wiernie służyli Bismarckowi, ojcowie i synowie zaś odbudowali po r. 1919 potęgę wojskową Niemiec, gwałcąc postanowienia Traktatu Wersalskiego.

Atmosfera panująca na dworach tych feudalnych hreczkosiejów sprawia, iż pruski generał uważany jest towarzysko za najdoskonalszy typ człowieka i czczony jako pierwszy sługa państwa. Równocześnie kwitnie na ziemiach tych kult arogancji z jednej strony, z drugiej zaś poniżenia ludzkiego i służalstwa, którego symbolem jest utrzymujący się w wielu okolicach obowiązek całowania ręki "pańskiej". Ta klasa arystokracji ziemskiej przywykła od wieków płacić służbą wojskową na rzecz króla i państwa za przywileje społeczne, których zażywa, a przede wszystkim za dochody, które w praktyce jej są gwarantowane przez państwo.

Zajmowane bowiem przez dobrą junkrów, wschodnie połacie terytorium państwowego Niemiec nie cieszą się bynajmniej względami przyrody. Pomimo intensywnego nawożenia sztucznego i nieprawdopodobnego wyzysku robocizny, ziemie ich nie były nigdy w stanie produkować zboża po cenach, mogących konkurować na rynkach światowych ze zbożem zagranicznym. To też od wieków junkrzy przyzwyczajeni byli do tego, że "odpowiadając ich stanowi" stopę życiową gwarantowało im państwo w postaci taryf celnych, chroniących ich produkcję rolniczą przed konkurencją zagraniczną kosztem stopy życiowej reszty ludności Niemiec, oraz drogą bezpośrednich subwencji państwowych, obciążających ogół podatników.

Republika weimarska nie miała odwagi zerwać z tą wiekową tradycją. Skoro bowiem ci właściciele dóbr reprezentowali klasę rządzącą, skoro z łona ich wyszedł prezydent republiki Hindenburg i kanclerz von Pappen, trudno było nawet temu zubożałemu rządowi republikańskiemu odmówić im wysokich ceł i subwencji, a także obniżenia procentów od długów hipotecznych, obciążających ich dobra.

Przedzję czy później jednak demokratyczne rządy byłyby musiały skończyć z tym systemem, który był uciążliwy zarówno dla chłopów, jak i dla robotników. To też junkrzy doskonale sobie zdawali sprawę, iż pod rządami republiki los nierentownej wielkiej posiadłości ziemskiej musiał stawać się z każdym dniem coraz bardziej wątpliwy. Byli oni ciężarem dla kraju, któremu nie przynosił żadnego pożytku a tylko szkodę. Potrzebować ich mogła tylko wojskowość, przede wszystkim jako dostawców wielkich ilości zboża krajowego w razie wojny, cena bowiem w tym wypadku nie odgrywa żadnej roli, zaś ich włości, jako dogodnych terenów dla manewrów i ćwiczeń wojskowych.

Dzięki takiemu nastawieniu duchowemu i gospodarczemu junkrzy byli zaprzeczeniem wszelkich dążeń do współpracy międzynarodowej. Stresemann niejednokrotnie uskarżał się wobec lorda d'Aberton, ambasadora brytyjskiego w Berlinie, na "niewiarygodną wprost ignorancję niemieckich nacjonalistów, a w szczególności junkrów, we wszystkim co

dotyczy polityki zagranicznej." **KONIECZNOŚĆ ROZBROJENIA SPOŁECZNEGO**

W czasie ostatniej wojny istniały w kołach alianckich zamiary unicestwienia junkrów, lecz skończyło się na niczym, a właściwie na tym, iż kasta ta nie tylko zwycięsko przetrwała klęskę Niemiec i Traktat Wersalski, który pozostawił jej sytuację nietkniętą, lecz dzięki nazizmowi wzmogła się jeszcze wydatnie na siłach.

Na lata całe przed nadejściem reżymu nazistowskiego antydemokratyczne hasła polityczne, społeczne, gospodarcze, moralne wyznawane przez junkrów i odpowiadające ich interesom, głoszone były tak w wojsku jak w szkołach i uniwersytetach niemieckich, stały się czymś w rodzaju religii dla wszystkich bez mała Niemców na długo przedtem, nim weszły w skład dogmatyki hitlerowskiej.

Przez lata wielkie obszary, należące do junkrów, służyły jako teren do ćwiczeń wojskowych dla zakonspirowanych organizacji paramilitarnych. Bardzo powszechne były tam "manewry o północy", odbywane niejednokrotnie w pełnym ekwipunku, z bronią w ręku, pod komendą podoficerów zawodowych, których tubalny głos budził nieraz spokojnych podróźnych na małych i odludnych stacyjkach kolejowych. "Reichskulturatorium für Jugenderziehung" miało tam swoje obozy dla młodzieży, gdzie mogła ona swobodnie oddawać się ćwiczeniom w życiu wojskowym, kulturze fizycznej, długim marszom nocnym z obciążeniem, mierzeniu odległości, szkicowaniu planów sytuacyjnych, strzelaniu, sztafetowaniu i wszelkim innym "sportom wojskowym".

Tam wreszcie — last but not least — kultywowano atmosferę nienawiści i podejrliwości w stosunku do Polski. Przykładem jak dobrze umiała podsycać ją "Reichswehra" jest szereg wydanych przez wojskowych broszur i pamfletów, opartych na założeniu usiłowanego zawładnięcia Prus Wschodnich przez Polskę, a rojących się od fantastycznych opisów polskiej dzikości i okrucieństwa.

Jeżeli przyszyi pókój ma być oparty na trwałych podstawach, wpływ junkrów na życie niemieckie musi być zniweczony doszczętnie. Pozostawienie w rękach tych rodzin wielkich obszarów w niczym się nie różni od pozostawienia przyszłym Niemcom posiadanych przez nich obecnie efektów wojskowych oraz fabryk uzbrojenia i amunicji. Cel ten osiągnięty być może tylko za pomocą przymusowo przez Zjednoczone Narody przeprowadzonej reformy rolnej, która przez odpowiednie rozdrobienie posiadłości ziemskich, należących do junkrów, pozbawi ich za jednym zamachem przywilejów społeczno-gospodarczych i wpływu politycznego, jaki wywierają na umysłowość niemiecką.

Dodać należy, iż dzięki dokonanej w ten sposób parcelacji latyfundiów, rozwiązałyby się równocześnie w pewnej mierze i sprawa bezrobocia, jakie grozi ludności niemieckiej w następstwie likwidacji ciężkiego przemysłu w ramach programu rozbrojenia.

TADEUSZ NIEDUSZYŃSKI

KU GRANICY RUMUNSKIEJ I LWOWU

Wojska sowieckie posuwają się naprzód...

Wojska niemieckie stoją przed trudnym zadaniem...

W tych warunkach liczyć się należy z dalszym pochodem sowieckim.

FINOWIE, RUMUNI I INNI

Rząd fiński dał odpowiedź na żądania sowieckie...

Szwecja odegrała rolę pośrednika i, jak należy przypuścić...

Nie wiemy, jak długo potrwać rozmowy, ale wydaje się...

kiami morskimi, ku Rosji, stanie się zjawiskiem powszechnym.

Jeszcze jednym dowodem jest misja księcia rumuńskiego...

O Bułgarach na razie cicho. Pogotwie, jakie chodzą...

Z tygodnia na tydzień

9 marca: Polskie samoloty myśliwskie atakowały cele ziemne...

11 marca: W nocy z 10/11 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską.

Za dnia polski lekki dywizjon bombowy bombardował obiekty wojskowe.

12 marca: W nocy z 11/12 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską.

13 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Cherson i Skatol w Polsce.

14 marca: W nocy z 13/14 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską.

15 marca: W katedrze Westminsterkiej odsłonięto wotum Lotnictwa Polskiego.

i komunistów bułgarskich. I tutaj zatem sowiecka polityka przejawia olbrzymią żywotność.

UZNANIE BADOGLIA PRZEZ SOWIETY

Rząd sowiecki pośpieszył się i uznał rząd Badoglio...

Oczywiście potem, gdy Rzesza zaatakowała Moskwę...

Moskwa, jak zaznacza "Observer" z dnia 19.III...

Boskiej Ostrobamskiej.

W nocy z 14/15 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską.

Polski lekki dywizjon bombowy atakował obiekty wojskowe...

Lotnictwo Sprzymierzonych przeprowadziło b. silny i skoncentrowany nalot na Cassino.

Parlament fiński uznał sowieckie propozycje zawieszenia broni...

W nocy z 14/15 lotnictwo niemieckie przeprowadziło silny nalot zapalający na Londyn.

16 marca: Lotnictwo brytyjskie w nocy z 15/16 bombardowało Stuttgart i inne ośrodki przemysłowe...

W nocy z 15/16 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską.

W nocy z 15/16 lotnictwo niemieckie przeprowadziło niewielki nalot na Londyn.

Polski lekki dywizjon bombowy atakował za dnia obiekty wojskowe.

kem są... liberalowie, jak Sforza czy Croce. Oczywiście dla nikogo...

Ten sam "Observer" stwierdza, iż polityka sowiecka dąży do oskrzydlenia Polski...

"Sunday Times" z dnia 19.III. donosi, że istnieją poszlaki, iż Moskwa chciałaby, żeby rząd czeski opuścił Londyn...

"Observer" z niedzieli powiada, że coraz wyraźniej rząd sowiecki opiera się na Komitecie Patriotów w Moskwie...

17 marca: Lotnictwo amerykańskie bombardowało Wiedeń z baz nad Morzem Śródziemnym.

Polski dywizjon myśliwski ostatni wyprawę bombową.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu Dubna, Targowicy i Demidówki na ziemiach polskich.

18 marca: Lotnictwo niemieckie w nocy z 17/18 wykonało niewielki nalot na Londyn.

W nocy z 17/18 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu przez Czerwoną Armie Jampola nad Dniestrem.

19 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Krzemieniec w Polsce...

W nocy z 18/19 lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Frankfurt nad Menem.

Ogłoszono, że w czasie jednego patrolu na Północnym Atlantyku brytyjska marynarka wojenna zatopiła sześć niemieckich okrętów podwodnych.

polskiej przeciwne są ugodzie. Jednocześnie jednak "Economist" stwierdza...

Nieszczęsne Cassino zbombardowano już tyle razy...

Bombardowanie Włoch postępuje. Bomby spadają na Florencję i inne miasta.

Bombardowanie Rzeszy. Akcja bombardowania Rzeszy postępuje naprzód.

Przepłoszenie "Luftwaffe" jest, jak mówiono niedawno, kwestią do dwu miesięcy.

W każdym razie wydaje się, że sojusznicy chcą przeprowadzić "Luftwaffe", albowiem tego rodzaju manewr...

Londyn, dnia 19.III.1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

JESZCZE O FLOCIE WŁOSKIEJ

Oświadczenie Roosevelta o proponowanym przydzieleniu jednej trzeciej części floty włoskiej Rosji...

Tym nie mniej sprawa nie przedstawia się jasno. Flota włoska już i tak podzielona jest między dwa obozy...

Po stronie Sprzymierzonych znajdują się okręty liniowe "Italia", "Vittorio Veneto", "Duilio", "Cesare" i "Doria"...

Poza tym kilkanaście włoskich okrętów wojennych znajduje się w portach hiszpańskich.

W operacjach amfibijnych pod Nettuno stracono krawężnik lekkie "Spartan" i "Penelope"...

H.M.S. "PENELope" ZATONAŁ. H.M.S. "Penelope" stracona pod Anzio...

Pierwszy Lord Mówi. Pierwszy Lord Admiralicji wygłosił w Izbie Gmin przemówienie...

POLSKA MARYNARKA WOJENNA. W ostatnich miesiącach ubiegłego roku polskie kontrtorpedowce "Śluzak" i "Krawiaki"...

Wojna na morzu

W roku jeden na 1000. Jedna z grup eskortowych sama zatopiła 17 niemieckich okrętów podwodnych.

Jedno z pism brytyjskich wspominało, że chodziło by raczej o wzmożenie sowieckiej floty na Morzu Czarnym.

Inne pismo przewiduje, że załogi sowieckie zostałyby wysłane na Morze Śródziemne...

W operacjach amfibijnych pod Nettuno stracono krawężnik lekkie "Spartan" i "Penelope"...

H.M.S. "PENELope" ZATONAŁ. H.M.S. "Penelope" stracona pod Anzio...

Pierwszy Lord Mówi. Pierwszy Lord Admiralicji wygłosił w Izbie Gmin przemówienie...

POLSKA MARYNARKA WOJENNA. W ostatnich miesiącach ubiegłego roku polskie kontrtorpedowce "Śluzak" i "Krawiaki"...

13 brytyjskich okrętów wojennych oraz wiele handlowych stracono w konwojach z pomocą dla Rosji.

Z 11 "Jamaczy blokady" wysłanych w ostatnim roku z Japonii do portów niemieckich...

Straty na Morzu Śródziemnym od chwili desantu na Sycylii wyniosły: 2 krawężniki...

600 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

padło wówczas na port. 14 razy nieprzyjacieli usiłował okręt storpować z powietrza...

Mimo to krawężnik o własnych siłach wyszedł z La Valette...

Dowodca i większość załogi padła na stanowisku.

600 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

woje na Morzu Śródziemnym, oraz patrolowały na wodach Dodekanesu.

W czasie przeprowadzania ważnego konwoju sprzymierzonych w basenie śródziemnomorskim...

Ogień okrętów eskorty ze "Śluzakiem" na czele był tak skutecznym...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

BITWA POD YMUIDEN. Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden...

700 OKRĘTÓW. Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox...

Polska — żywymi oczami

W domu*

B.D.I.C

Człowiek ścigany na ulicy, szanowany przy pracy, głodny i źle odziany — dzień cały krąży myślą wokół domu lub tego, co mu z domu jeszcze zostało. Czasy wojennej zawieruchy, czasy rozpętania złych mocy w świecie zewnętrznym sprzyjają wzmoczeniu uczuć rodzinnych, wzmagają tęsknotę za szczęściem osobistym. I mimo śmierci, która uderzyła niemal w każdą polską rodzinę, mimo tysięcy rozbitych małżeństw, mimo rosnących co dnia tragicznych zastępów sierot i wdów — zakwitło, jak nigdy przedtem życie rodzinne, ludzie sprzegli się uczuciowo silniej, niż kiedykolwiek.

W pędzie do utrwalenia tego, co każda chwila może zniweczyć, zawiera się w Polsce ogromną ilość małżeństw. Pary stające obecnie przed ołtarzem rzadko mają w sumie 40 lat. Mimo trudnych warunków materialnych, zupełnej niepewności nie tylko jutra, ale każdej godziny, małżeństwa te mają dzieci nieraz rok po roku. W rozmowach moich o Kraju, zapytywana o ludzi stamtąd, niemal równie często, jak: — „nie żyje,” odpowiadam: — „ma dziecko.” Jest w tym może biologiczna dążność do wyrównania strat, zadanych przez wojnę: rodzina w Polsce przeżywa swoje wyraźne odrodzenie, życie wypłoszone zewsząd, chroni się w ściany domu.

Niewiele pozostawili nam Niemcy z materialnej strony domu. Sprawa mieszkaniowa jest jedną z najtrudniejszych stron życia pod okupacją. W specjalnie ciężkiej sytuacji jest pod tym względem Kraków, który jako stolica Generalnego Gubernatorstwa musiał pomieścić wielotysięczną sferę urzędników z rodzinami, centralę Gestapo, wreszcie liczne rzesze ewakuowanych z bombardowanych okolic Niemiec.

Na biura i urzędy zarekwirowano wszystkie gmachy publiczne, szkoły i uczelnie zostały zajęte na koszary lub szpitale. Niemcy lubią urzędować szeroko i biurokracjonalnie, potrzebują dużo miejsca. Gestapo, zajmujący duży i nowoczesny budynek „Domu Śląskiego” na Pomorskiej, rozszerzyło się następnie na cały Plac Inwalidów, rugując mieszkańców. Jako jeden z pierwszych padł ofiarą dom profesorów U.J. na Ruskiej. W zajętych na biura budynkach Niemcy wykonują wszędzie jednakowe, charakterystyczne dla nich przeróbki: dzielą większe sale na małe pokoiki zapomocą wewnętrznych ścianek oraz budują przejścia między sąsiednimi domami, zabezpieczając się przed ewentualnymi walkami ulicznymi.

Wysiedlenia związane z rekwizycją dla urzędów i wojska nie byłyby jeszcze niczym szczególnie uciążliwym, plagą stają się przetrzenia tysięcy ludzi dla utworzenia dzielnic według narodowości. Tak więc w Krakowie, w pierwszym stadium zaprojektowano dzielnicę niemiecką w okolicy Parku Krakowskiego, żydowską na Podgórze /jeszcze przed zamknięciem ghetta/, Polacy mieli prawo mieszkać w całym mieście z wyjątkiem dwóch wymienionych dzielnic.

W praktyce wyglądało to tak, że niesłychanie brutalnie wyrzucono Żydów z Kazimierza. Przez dwa tygodnie czasu przesiedlania, szalały na Kazimierzu rewizje, słychać było nieustanną strzelaninę. Dla zupełnej swobody rabunku zamknięto Polakom dostęp na cały czas, wstrzymano nawet komunikację tramwajową.

Z części Podgórza, przeznaczony dla Żydów, wysiedlono Polaków, głównie rzemieślników, posiadających tam najczęściej własne małe domki. Jednocześnie usuwano coraz konsekwentniej Polaków z dzielnicy niemieckiej, rozszerzając coraz bardziej jej zasięg. Potrzeby niemieckie wstały bezustannie, poza tym Niemcy woleli rozprzestrzeniać się między ludnością polską, a unikać skupisk własnych, niebezpiecznych ze względu na możliwość bombardowania.

* Por. poprzednie artykuły cyklu: „Powszedni dzień terroru” druk. w nr. 6, „Życie ulicy” druk. w nr. 7, „Wobec wydarzeń wojennych,” druk. w nr. 8, „Dziecko i matka” druk. w nr. 10, „Kobieta w walce,” druk. w nr. 11 „Polski Walczącej” z b.r.

Wszystkie te praktyki przesiedleńcze mogłyby w odpowiednich warunkach i przy dobrej woli okupanta być tylko utrudnieniem, a nie plagą. Niemcy jednak dokładali wszelkich starań, aby do wszystkich cierpień okupacji dołączyć jedno z najboleśniejszych — bezdomność. Od humoru urzędnika z „Wohnungsamt” zależy, czy termin jest dwutygodniowy, czy, co najczęstsze, trzydniowy, czy nawet „sofort.” Od humoru również zależy, czy wolno zabrać rzeczy, czy też wychodzi się z walizką, jak mówi popularny dowcip krajowy: „z teczką.”

Nakaz zostawiania rzeczy na miejscu początkowo dotyczył tylko Żydów, już jednak od jesieni 1940 roku stosowano ten system i do ludności polskiej. Tak nie pozwolono niczego zabrać mieszkańcom ul. Żuławskiego, bez rzeczy wyrzucono też rodziny profesorów uniwersytetu z Al. Słowackiego. Parę dni po uwięzieniu profesorów oderwano zrozpaczone kobiety od murów więzienia na Montelupich rozkazem wynoszenia się z domów. Dano im całe trzy godziny czasu, zaś dla uprzyjemnienia wyprowadzki — wyłączono światło. Można zresztą było i po ciemku spakować odrobinę osobistych rzeczy, które nowi lokatorzy uznali za własność wyprowadzających się. Zostały na miejscu bezcenne biblioteki, płótna Falata i Chelmońskiego. Szoferzy niemieccy palili w piecach całą zimę książkami romanisty krakowskiego. Niszczono dla samej przyjemności niszczenia.

Dokuczanie, jako cel sam w sobie, było normalnym porządkiem postępowania. Wysiedlenia spadały zawsze w najmniej oczekiwanym momencie i najczęściej w czasie dotkliwego zimy. Wysiedlono n.p. w czasie ciężkiej zimy 41/42, całą ulicę Słoneczną, składającą się co prawda z samych no-

wych domów, lecz dość odległą od śródmieścia. Mieszkania te stały następnie całą zimę puste, ponieważ kolejkarze niemieccy, dla których je przeznaczono, nie chcieli mieszkać tak daleko od miejsca pracy. W rezultacie popękały wszystkie rury wodociągowe, mieszkania zostały zalane wodą, ściany się zarysowały. „Korzyść” z tego była tylko jedna: tysiące Polaków utraciły dach nad głową.

Polityka wysiedleńcza biura mieszkaniowego zmienia się bezustannie: projektuje się trzy dzielnice, potem po zlikwidowaniu ghetta dwie. W pewnym okresie dopuszcza się dzielnicę mieszaną, po paru tygodniach zarzuca się ten projekt. Granice poszczególnych dzielnic są płynne i coraz to inaczej określane. Rzucą się coraz nowe pogłoski dla wzniecania niepokoju. Co najmniej co trzy miesiące szerzy się nagminnie plotkę o zupełnej ewakuacji miasta i przeniesieniu go wyłącznie dla Niemców. Masa plotek — o burzeniu poszczególnych dzielnic, o wysiedleniach i przesiedleniach wychodzi ze źródeł niemieckich, często zupełnie jawnie.

I tak jakoby miano zburzyć Dębniaki, i wybudować tam monumentalny dworzec. Pod górą św. Bronisławy miał przechodzić tunel kolejowy. Skończyło się na niczym, ale mieszkańcy Dębniak żyli kilka tygodni w ciągłym strachu przed wyrzuceniem. Ludzie zastraszeni ewentualnością przesiedlenia w trzy godziny bez prawa zabrania rzeczy, wyprowadzają się „profilaktycznie,” narażając się na niepotrzebne trudy i koszty. Przeprowadzka następuje ogromne trudności techniczne. Biura transportowe przyjmują zamówienia na wozy meblowe tylko na dwa miesiące z góry, wozi się więc rzeczy ręcznymi wózkami, taczkami, dźwiga się je w koszach. Mam w Krakowie znajomych,

których wyrzucano pięć razy. Bywa, że wysiedlają z nowego mieszkania w dwa tygodnie po jego objęciu. Ludzie zebrzą w „Wohnungsamte” nie o przydział mieszkania, bo o tym nie ma mowy, lecz o wiadomość, w jakich stronach zamieszkać, żeby choć w najbliższym czasie nie wysiedlano.

W związku z ewakuacją zbombardowanych miast niemieckich, specjalnie brutalnie wyrzucano całe dzielnice. Tak na jesieni 1942 wysiedlono Osiedle Oficerskie, gdzie sprowadzili się Niemcy z Lubeki. Mielimy też wątpliwą przyjemność zawarcia znajomości z obywatelami Bremy, Essen, Hamburga. Ludzie ci, przychodząc bez niczego, otrzymują wszystko gotowe po Polakach, trzeba im zostawić nawet pościel. Gdy organy opieki społecznej próbowały interweniować choćby o uzyskanie trochę dłuższych terminów wysiedlenia, argumentując zupełnym brakiem mieszkań, oficjalna odpowiedź brzmiała: — „Jeśli nie macie dokąd pójść, zawsze dla was znajdzie się miejsce w Oświęcimiu.”

Niemieccy urzędnicy „Wohnungsamt” to hienny żerujące na ludzkim nieszczęściu; mają oni otwarte pole do szantażu i łapówek. „Uczciwi” z nich wykonują zobowiązania wynikiem z udanego szantażu, większość po wyludzeniu okupu uważa sprawę za załatwioną i nie interesuje się dłużej losem bezdomnego. Urzędnik taki jest rzeczywiście panem codziennego życia każdego człowieka. Pomijając już ewentualność pozbawienia dachu nad głową, zawsze trzeba się liczyć z łagodniejszą formą kryzysu mieszkaniowego, z rekwizycją części lokalu. O współżyciu z niemieckimi lokatorami pod jednym dachem napiszę osobno, łatwo sobie jednak wyobrazić, jak wiele tu zależy od takiej czy innej obsady mieszkania. Można mieć 4-pokojowe mieszkanie przy niemieckiej ro-

dzinie, z gromadą dzieci, z radiem rzycającym całą omal dobę, i z dogiem /ulubiony pies Niemców, tresowany, jako obrońca/. Kolejki do kuchni i łazienki /właściciel mieszkania jest oczywiście z łaski tylko tolerowany/ zmuszają do wstawania o 5-ej rano, aby móc zdążyć do pracy. Złagodzenie tych stosunków, ratunek przed brutalnymi awanturami na każdym kroku, leży w ręku urzędnika, przydzielającego lokatorów...

Urzędnicy ci urzędują tak gorliwie i... bezinteresownie, że sami Niemcy urządzają od czasu do czasu czystki w „Wohnungsamte,” stwarzając ostateczny bałagan i zamieszanie.

Już od kilku lat ludzie w Krakowie są bez przerwy w poszukiwaniu mieszkania. W praktyce prawie czysto polskie są tylko jeszcze dzielnice za Wisłą: Podgórze i Dębniaki. I tam jednak każdy porządniejszy dom jest w każdej chwili stale zagrożony. Ludzie są już tak zmęczeni ciągłymi przeprowadzkami, że niemal wzdychają do momentu, kiedy ich już całkiem z Krakowa wyrzucą i gdy nie będą mieli czego przewozić z miejsca na miejsce. Specjalnie nieszczęśliwi są ludzie posiadający duże biblioteki. Widziałam paradoksalne sytuacje, gdy patrzono omal że z bliskim nienawiści na własne skrzynki z najukochańszymi książkami, lub srebrami rodzinnymi, stanowiącymi źródło utrzymania. Nad wszystkim górowało pytanie: jak to przeniesić?

Ciągły „ruch mieszkaniowy” wytwarzany przez Niemców ma na celu właśnie doprowadzenie ludzi do stanu bezustannego znużenia i niepokoju, do obrzydzenia nawet własnego rodzinnego kąta. W obliczu niebezpieczeństw, terroru, grozy wywiezienia, uwięzienia i śmierci, prześladowania mieszkaniowe są właściwie mniej straszne, ludzie też pocieszają się wzajemnie: — „Cóż to za zmartwienie mieszkanie, gdy jutro mogę nie żyć.”

Rozumowanie jednak nie zmienia faktu, że na codzień człowiek nigdzie już nie ma schronienia. Zanika ochota do posiadania przyzwoitego mieszkania. Przeciwnie, szuka się mieszkania jak najgorszego. Wybiera się daleką ulicę, jak ognia unika się wszelkiego komfortu, łazienki, nawet elektryczności. Każde przyzwoitsze mieszkanie zaraz przynęca Niemców. Ludzie nie starają się o przyzodobienie swego domu. Nikt niczego nie naprawia, nie odnawia. Schowano głęboko dywany, firanki, obrazy. Im gorzej mieszkanie wygląda, tym pewniej można się czuć u siebie. Zastalam niegdyś znajomą moją na drabinie, demolującą w łazience sufit: — „Muszę stworzyć wrażenie, że się tu nam dach wali na głowy” — powiedziała w przystępie desperackiego humoru.

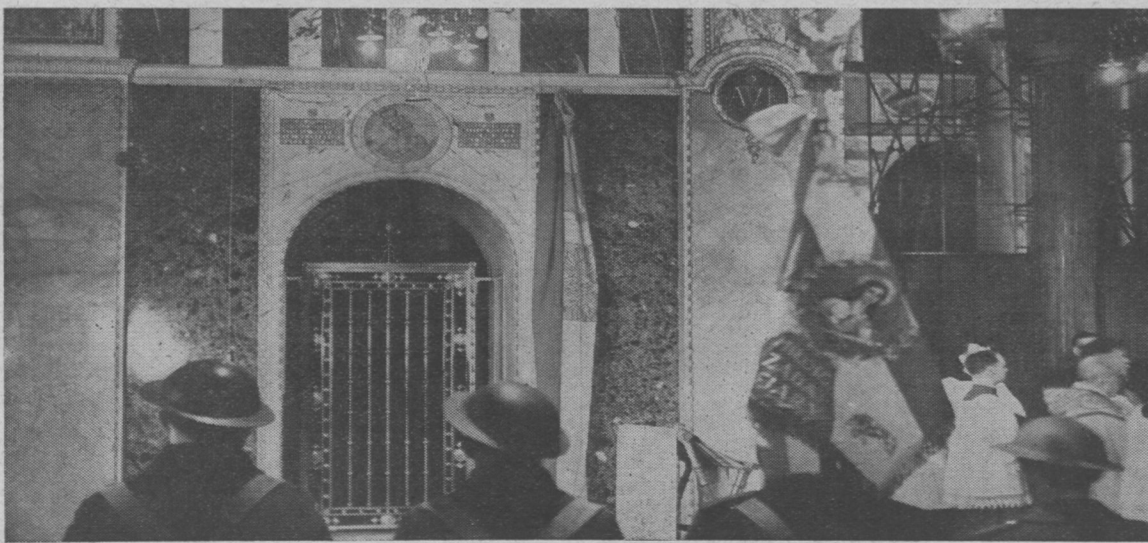
Zgęszczenie lokatorów, z natury rzeczy doprowadza mieszkania do oplakanego stanu. W każdym polskim domu mieszka po kilka rodzin. I w tej sprawie, jak w wielu innych, święci triumfy prawdziwie braterska solidarność. Wyrzuceni trzeci, czy czwarty raz z mieszkania nie mają w przeludnionym mieście najmniejszych szans znalezienia samodzielnego locum. Niemcy dają do dyspozycji dawne bóżnice na Stradomiu, gdzie same przeróbki musiałoby pochłonąć kilkadziesiąt tysięcy złotych. Wynając z wolnej ręki można już najwyżej „łóżko” t.zn. kąt do spania w pokoju innej rodziny.

Mimo to nikt nie zostaje na ulicy. Spora ilość Krakowian odeszła co prawda z miasta do gmin pobliskich: Borku Fałęckiego, Woli Justowskiej, na Czerwony Prądnik, a nawet dalej jak do Bieżanowa. Odbierają większość pomieszczeń jednak w domach krewnych, przyjaciół, lub znajomych. Rozszerzyły się dosłownie domy polskie w Krakowie, przyjmując gościnnie najpierw wysiedlonych z Ziemi Zachodnich, następnie sąsiadów swych, pozbawionych dachu nad głową. Dzielą się dziś w Polsce ludzie czym mogą: groszem, łyżką strawy i — co nieraz może najtrudniejsze — ostatnim kątem w mieszkaniu.

MARIA BRZESKA

Ze Święta Dywizjonu Wileńskiego

Poczet sztandarowy Dywizjonu przed wotum zawieszonym w Katedrze Westminsterskiej dnia 15.b.m.



Od lewej: Minister Obrony Narodowej, Premier Rządu, Przewodniczący Rady Narodowej, Prezydent Rzeczypospolitej, Naczelny Wódz i Inspektor Polskich Sił Powietrznych — na nabożeństwie w Katedrze Westminsterskiej



Piosenki 8-ej Armii

Powszechnie przyjęło się mniemanie, że wojna obecna nie zrodziła żadnej żołnierskiej piosenki. Że muza — wierna towarzysząca żołnierzom dawnych wojen — zamilkła przerażona łomotem czołgów, łoskotem śmigieł samolotów, hukami bomb rozrywających się nad miastami. W kilku pismach ukazały się artykuły w tym tonie, kilku pisarzy podjęło się uzasadnić istniejący stan rzeczy i — szeroka publiczność uwierzyła, że wojna zmotoryzowana, wojna totalna obchodzi się bez pieśni żołnierskiej.

Moje wrażenie jest raczej inne. Najwierniejsza towarzysząca żołnierza, piosenka nie opuściła go i w tej wojnie. Stała się tylko jeszcze bardziej żołnierska. Przebywa w żołnierskich szeregach i nie dociera do publiczności. Któż zna w Londynie, "w emigracyjnych kolach" piosenki, które rozbrzmiewają na stacjach lotniczych, na okrętach R.P., w obozach *Middle Eastu*? Piosenka żołnierska jest dziś piosenką odczuwaną, rozumianą i znaną tylko wśród żołnierzy. Dlaczego stało się właśnie tak — nie wiem. Choć wiedziałem, jak powstają piosenki, nie umiem powiedzieć jednak, jakie wartości w nich zawarte rozstrzygają o ich przyjęciu się lub zapomnieniu. Gust żołnierskiej braci jest równie nieodgadziony i kapryśny, jak gust publiczności teatralnej.

Zmienne losy mojej żołnierskiej służby pozwoliły mi poznać, jak rodzą się, rosną, przyjmują się lub przemijają piosenki żołnierskie w różnych żołnierskich środowiskach: w 8-ej Armii, wśród lotników, wśród marynarzy, w obozach polskich *Middle Eastu*. Pragnę dziś opowiedzieć historię piosenek słynnej 8-ej Armii, obok której walczy nasz II Korpus.

"WALTZING MATHILDA"

Każdy z przybywających oddziałów przynosił swoje piosenki. Były oddziały szkockie, angielskie, południowo-afrykańskie, nowozelandzkie, australijskie i hinduskie. Z morza melodii wyrosła i spopularyzowała się najbardziej: "Waltzing Mathilda." Jej porywająca, tańcząca niewstrzymana w swej żywiołowej sile melodia przemówiła najsilniej do żołnierzy pustyni. We wszystkich *pub'ach* Kairo, w kantynach N.A.A.F.I. na punktach przeładunkowych, etapach aż po wysunięte placówki pierwszej linii rozdzwoniła się tańcząca melodia, przeniesiona na libijską pustynię przez australijskich *Diggerów*. Czasem tak jej wydzwaniało kufkami, jeśli śpiewający siedzieli w kantynie, czasem porywające dźwięki walcu wybijały się ponad trzask karabinowej palby i głuszyły huk granatów ręcznych, jeśli "Mathilda" towarzyszyła *Diggerom* idącym do ataku.

Przez długie dwa lata "Waltzing Mathilda" rozbrzmiewała na całej przestrzeni pomiędzy Kairo i Benghazę — szła wiernie w żołnierskim szeregu, dzieląc radości i natarcia, gdy na każdym kroku wpadały w ręce wieczne spragnionych *Diggerów* pękate flaszki włoskiego wina i podtrzymywała swą żywiołą siłą upadające serca, gdy w tragiczne dni odwrotu trzeba było pozostawiać na łasce wroga rannych towarzyszy broni. "Waltzing Mathilda" dwukrotnie doszła do Benghazy i dwukrotnie cofnęła się aż poza granice Egiptu. Była przez długi czas bojową piosenką 8-ej Armii.

Raz jeden tylko popularność jej została zagrożona. Legia Cudzoziemska wycofując się spod Ben Hakeim miała oddziały 8-ej Armii śpiewające "Marsyliankę." Tej chwili opisać niepodobna. Raz jeszcze nieśmiertelne: *Amour sacré de la patrie*... stało się pieśnią wojny ludzi bijących się o wolność świata. Ale szeregi generała Koeniga odeszły, zanim żołnierze 8-ej Armii zdążyli nauczyć się "Marsylianki" — i "Mathilda" wróciła do swych praw.

Spod El Alamein raz jeszcze tańczące dźwięki poprowadziły żołnierzy 8-ej Armii do ostatecznego, tym razem, zwycięstwa. Ale zwycięski marsz 8-ej Armii — stał się jednocześnie początkiem zmierzchu "Waltzing Mathildy." W miarę jak posuwano się na zachód, w miarę, jak rosła zdobycz, gdy

w setki liczyć zaczęto zdobyte na "szkopach" gramofony i płyty — popularność "Mathildy" zaczęła maleć. Zagroziła ją "Lili Marlene."

"LILI MARLENE"

Po raz chyba pierwszy w dziejach wojen jedna armia zdobyła na drugiej — piosenkę. Ze zdobytymi płytami płynęły sentymentalne słowa piosenki o żołnierzu marzącym o rodzinnych koszarach, o stojącej przed bramą koszar latarni i o dziewczynie, czekającej pod tą latarnią na żołnierza. Melodia doskonale pasowała do krajobrazu libijskiej pustyni. Wieczorami, gdy wraz z zapadającym za pagórki słońcem, nikt uciążliwy żar i żołnierze zaczęli skupiać się przy ogniskach — zdobyte gramofony zaczęły swą piosenkę o dalekiej Europie, o niewidzianych dawno drzewach, o niewidzianych dawno ludziach, o niewiarygodnej, a przecież istniejącej tam daleko, za setkami mil pustyni, za tysiącami mil morza, Białej Kobicie.

"Lili Marlene" uderzała w tę strunę duszy żołnierskiej, która jest u żołnierza najbardziej intymna: tęsknota za pozostawioną gdzieś daleko — ukochaną kobietą. Gdy 8-ma Armia spotkała się z melodią "Lili Marlene" niektórzy żołnierze byli już czwarty rok poza swym krajem. Cóż więc dziwnego, że sentymentalna "Lili Marlene" zdobyła ich serca, że zapomniana została buńczuczna piosenka pierwszych lat wojny, towarzysząca wierna pierwszych zwycięstw, kłęk, natarć i odwrotów: "Waltzing Mathilda"? W ślad za ustępującą armią Rommela, w zgrzycie czołgów, w łomocie lotniczych nalotów, huku artyleryjskich wystrzałów szła 8-a Armia. A gdy noc przerywała walkę, po obu stronach pół minowych w dwóch wrogich sobie armiach żołnierze nucili tę samą melodię: "Lili Marlene."

"DIRTY GERTIE"

"Lili Marlene" doszła do Benghazy czy może nawet do El Aghel. Tam zastąpiła ją wesola, kpiąca z życia i świata melodia podłożona pod wesole, niezapamiętane cenzuralne słowa nowej piosenki: "Dirty Gertie." Nowa piosenka opanowała 8-ą Armie, zaczęła ją nucić od dołu aż po szczyty. Jednego poranka słuchałem, jak nucił ją mój *batman*, potem w messie nucił ją dowódca *Flight'u*, a w H.Q. usłyszałem — o zgrozo — jak sam "Padre" nucił "Dirty Gertie," sortując przybyłą z Anglii pocztę.

"Dirty Gertie" narodziła się wśród szoferów kolumn dostarczających 8-ej Armii tego wszystkiego, co jest do walki i życia niezbędne. A na pustyni oprócz piasku i skał — nie było niczego. Wszystko należało dowieźć, wszystkiego dostarczyć na przewidzianą w planie godzinę na oznaczone z góry miejsce. Zwycięstwa 8-ej Armii zostały nie tylko wywalczone dzielnością brytyjskiego żołnierza, zostały one także — a może nawet przede wszystkim — zorganizowane.

Długie kolumny liczące tysiące *trucków*, pracowały jak transmisyjny pas pomiędzy bazami a frontem. Pracowały bez ustanku, pracowały "25 godzin na dobę," jak mówiono. Zaczawszy od amunicji a skończywszy na drzewie opałowym — wszystko musiało być dowieszone. Dostawy decydujące o możliwości walki. Żołnierz mógł nie jeść, ale musiał mieć wodę. Zapelowałwszy do najgłębszych duchowych wartości oddziału, dowódca mógł utrzymać żołnierzy bez wody nawet do 50 godzin, ale czołgi bez wody i bez paliwa nie reagowały na najważniejsze apele. Po prostu stawały. Piloci mogli całe dni żywić się pastylkami Horlicksa, ale ich samoloty domagały się należytą porcji benzyny, amunicji i bomb. A żeby mógł istnieć front musiał toczyć się bez przerwy. "25 godzin na dobę," potężne kolumny niezliczonych *trucków*. Bez przerwy musiał sunąć rozpedzony pas transmisyjny wiążący bazy i front.

Początkowo wszystko to działo się zgodnie z planem. Szoferzy mieli ściśle rozkład dnia, jazda, konserwacja sprzętu, odpoczynek, sen. Potem 8-ma Armia zaczęła iść naprzód w takim tempie, że wszystkie rozkłady zaczęły się rozsyptywać, jak domki z kart. Kolumna miała n.p. rozładować amunicję przy Hemessi, po siedmiu godzinach jazdy, czyli o 17-ej i po czterech godzinach odpoczynku powrócić do bazy na godzinie 4-tą rano, by po następnych sześciu godzinach odpoczynku zacząć ładowanie o godzinie 10-ej z rana dnia następnego. Ale front sunął niewstrzymanie naprzód i o godzinie 17-ej kolumna dotarła do Sidi El Hemessi znajdująca tam już tylko motocyklistę, który ją radośnie informował, że bateria przesunęła się do Hamma Zaid czyli o dalsze dwie godziny jazdy. Kolumna waliła więc naprzód, ale by zacząć ładowanie o 10-ej dnia następnego, musiała zadowolnić się jednogodzinnym odpoczynkiem, by wrócić do bazy o 7-ej rano, już o 10-ej zacząć ładowanie. Szoferzy wiedzieli, że dostawy muszą być dowieszone na front. Spotykałem, pamiętam, całe kolumny *trucków*, prowadzone przez kierowców, którzy w ostatnich pięciu dniach mieli za sobą 106 godzin przy kierownicy i 14 godzin snu.

TAJEMNICZE I SKANDALICZNE OKOLICZNOŚCI NARODZIN

W takich kolumnach, wśród takich właśnie ludzi narodziła się "Dirty Gertie." Przyjście jej na świat było nielada sensacją w Beni Quid, gdzie mieściła się H.Q. służby transportów. Major Henclyff był pierwszym, który zobaczył na jednym z samochodów elegancką, wysoką blondynkę wspartą czule na ramieniu kierowcy. Ale major był zajęty i nie zwrócił na to uwagi. Dopiero po lunchu, gdy pik. Higs z oburzeniem wspominał o upadku dyscypliny, wyrażającym się w wożeniu kobiet na wojskowych samochodach, major domyślił się o kogo tu chodzi.

Ale pomimo rozkazów pułkownika wysoka, piękna nieznajoma nie opuszczała rejonu Beni Quid. Widywano ją raz tu, raz tam. Przeważnie lubiła sztabowe limuzyny, choć nie pogardzała zwyczajnymi *jeep'ami*. Ulubioną jej pozą było oparcie cudnej blond główki na ramieniu szofera, przereźnięcie pielęgowanej, białej ręki przez jego plecy i kokietowanie mijanych żołnierzy tajemniczym, nieruchomym uśmiechem. Ten uśmiech, zakrój nieruchomych warg, jasne spojrzenie błękitnych, ocienionych długimi rzęsami oczu — stawały się wyzwaniem dla całego licznego sztabu H.Q. Służby Transportów w Beni Quid'zie. W H.Q. było wielu młodych oficerów, którzy już od miesięcy siedzieli w pustyni i którzy nie pominęli żadnej nadarzającej się sposobności, by zawrzeć znajomość z piękną, tajemniczą blondynką.

Ale tajemnicza nieznajoma unikała oficerów, jak ognia. Ukazywała się tylko z szoferami. Nikt nigdy nie widział jej idącej. Nie bywała w messach. Jak meteor przecinała ulicę Beni Quidu to w tym, to w innym samochodzie. Gdy 2nd Lt. Bennett pragnął koniecznie poznać uroczą panią, postanowił jechać za uwożącym ją samochodem — dojechał aż do Quaina, gdzie samochód zatrzymał się przed magazynem prowiantowym i zaczął wyładowywać mrożone mięso. Ale miejsce koło szofera było puste i 2nd Lt. Bennett postanowił, że nigdy więcej nie będzie pił przed lunchem więcej, niż trzy whisky.

Kpt. John Gill był zupełnie trzeźwy, gdy rozpoczął pogon za *jeep'em* wiozącym tajemniczą nieznajomą. *Jeep* zjechał do Składowicy Meldunkowej, tam szofer oddał kilka skrzynek z rakiętami, ale był sam. Kpt. Gilles nie chwalił się swą przygodą, ale gdy i kpt.

Hiltona spotkał podobny zawód — przy barze wieczorem zgadali się wszyscy trzej i postanowili wysledzić zagadkę "niknącej" piękności.

Właśnie omawiali plan akcji, gdy do namiotu — męsy wtoczył się sam pułkownik. Jego czerwona twarz była jeszcze czerwiejsza, a wypukłe oczy wprost wychodziły z orbit. — "Padre — czy padre wierzy w cuda?" Na wymijającą odpowiedź, pułkownik zaczął opowiadać. I on wracał z pogoni za piękną nieznajomą. Wprawdzie tym razem pobudką pogoni była chęć ukarania kierowcy za nie-regulaminowe branie pasażerów, ale rezultat był — ten sam. Piękna blondynka znikła wśród namiotów *Maintenance Unit* i pułkownik nie znalazł "rzeczowej" podstawy, by ukarać zbyt uprzejmego dla pici pięknej szofera.

W ciągu następnych kilku dni prawie wszyscy oficerowie H.Q. Służby Transportów w Beni Quid padali ofiarą nieznajomej tajemniczej piękności. Wszystkie pogonie kończyły się niczym. Znikła. Ponieważ "Padre" zaprzeczył stanowczo, by mogły tu wchodzić w grę siły nadprzyrodzone, przeto messa musiała zadowolnić się jedynie logicznym wytłumaczeniem tajemniczego faktu znikania pięknej blondynki, jaki przedstawiał *Intelligence Officer* kpt. Brain: — "Po prostu — wyjaśniał kapitan — któryś z szoferów ma perukę i przebiera się dla zabawy. Gdy dojedzie do namiotów lub magazynów, zrzuca suknię, zdejmując perukę i po prostu jest znów żołnierzem — ku głębokiemu zawodowi naszych poszukiwaczy przyciód." Tu kpt. Brain zerknął znacząco ku 2nd Lt. Bennettowi i kpt. Gillesowi.

Wyjaśnienie "Intelligence" musiało widocznie dojść do uszu pięknej nieznajomej, gdyż następnego dnia kilku oficerów H.Q. w Beni Quid miało niezbitą pewność, że tajemnicza blondynka nie jest przebrany szoferem. Śladem Lady Godivy przemknęła w biały dzień przez zakurzone uliczki w stroju składającym się z pończoch, pantofelek i kapelusza. Wspaniale zbudowana, wysoka, smukła, z długimi nogami i bacznie zarysowanymi piersiami przekonała wszystkich napotkanych po drodze oficerów, że kimkolwiek jest — to na pewno nie jest przebrany szoferem.

Wśród spotkanych przechodniów był także i sam pułkownik. Okiem znawcy ocenił piękność kształtów tajemniczej nieznajomej — wyprostował swą okazałą postać i wypiął pierś do przodu tak gwałtownie, że aż zachrzęszczały paski podtrzymujące lornetę i rewolwer. Długo patrzył za niknącym w obłokach kurzu *jeep'em*. Potem rozpełzał burzę. "Intelligence" został zbesztany, że pozwala na kręcenie się po terenie H.Q. osobom, których konduita i moralność... Drugą ofiarą był dowódca wojskowej policji t.zw. "M.P.," którego obowiązkem było wydawanie przepustek, kontrolowanie dróg — i w ogóle pilnowanie by wszystko co się dzieje, działo się zgodnie z przepisami *King's Regulation*. Trzecią ofiarą pułkownikowskiego gniewu był sam "Padre," któremu pułkownik zarzucał, że gdyby mniej czasu spędzał przy barze messa a więcej z żołnierzami organizując im "godziwe" rozrywki, na pewno nie było by wśród nich takiego zepsucia, które wyraziło się w tak niesłychanym skandalu, jak przejażdżki nagich kobiet — pułkownik lubił przesadzać i pomańczać fakty — po obozie w biały dzień, przed samym H.Q. Służby Transportów.

Gniew pułkownika drogą służbową spłynął na sierżantów, kaprali, "lance kaprali" i służbowych "M.P." Dni pięknej nieznajomej zdawały się policzone. Co najmniej setka wojskowych różnych stopni przysięgała sobie, że musi ją dogonić i przyprowadzić w triumfie przed jowiszowe oblicze pułkownika. A jednak piękna nieznajoma jeszcze dwa dni cieszyła się wolnością, którą lekkomyślnie zuży-

tkowała na przejażdżki po terenie H.Q., w czasie których swą posągową, marmurowo białą nagością wprawiała w stan podniecenia młodszych oficerów H.Q.

W pamiętną w Beni Quid'zie niedzielę podczas wizyty samego generała piękna nieznajoma przemknęła przed H.Q. właśnie w czasie po-lunchowej kawy. Generał wysłuchał wyjaśnień pułkownika spokojnie — jak na prawdziwego *gentlemana* przystało. Nie rzekł nic, tylko oczy jego zdawały się mówić: "ty mów a ja zdrows — ładne tu macie obyczaje na tyłach." Był to przedostatni "występ" tajemniczej, nagiej piękności.

Feralny poniedziałek przyniósł jej kłęk, kłęk, która ją zresztą nieśmiertelną w pamięci 8-ej Armii. Gdy w czasie tradycyjnej *5 o'clock tea* mijala H.Q. Służby Transportów, boską harmonią nagich kształtów rzucając wyzwanie oficerom H.Q. przednie koło *jeep'a* — natknęło się na gwóźdź. (Stary sierżant *Military Police* zawsze się dziwnie uśmiechał, gdy przy nim wspomniano o tym fatalnym gwóźdźu). Samochód stanął. Otoczyła go gromada oficerów. Z namiotów na leb na szyję biegli kierowcy i mechanicy. Zgromadzona ciżba rozsunęła się na boki przed nadchodzącym pułkownikiem.

Obok kierowcy, wesolego, znanego wszystkim łobuza Smith'a z londyńskich *East India Docks*, wspaniałego przedstawiciela nieśmiertelnej rasy *cockney'ów* — siedziała w hieratycznej, nieruchomej postawie naga kobieta. Jej błękitne oczy przesłonięte długimi rzęsami patrzyły jasno i otwarcie w twarz pułkownika. Lewe, dziwne nieruchome ramię spoczywało w pieszczołliwym przeczucie na szyi kierowcy Smith'a. Tłum otaczający samochód Smith'a i naga piękność rósł z każdą chwilą. Oficerowie grzyźli usta do krwi, ażeby nie wybuchnąć śmiechem.

Pułkownik kłął w duszy chwilę, w której opuścił werandę H.Q. i zdecydował podejść do samochodu. Sytuacja stawała się bez wyjścia — lada chwila stanie się coś co już nigdy nie da się wymazać z pamięci żołnierzy z H.Q. w Beni Quid. Pułkownik miał z sobą wiele lat służby, wiedział, że tylko proste i jasne postawienie sprawy może uratować jego autorytet. Przestał walczyć z ogarniającym go śmiechem. W ślad za pułkownikiem zatrząsa się od śmiechu, gromada kierowców i mechaników.

Gdy przebrzmiały pierwsze salwy śmiechu pułkownik zabrał głos: — "Gdzie znalazłeś tę lalkę Smith?" — "W Benghazy, Sir. W zbombardowanym magazynie gotowych sukien — były tam dwie takie lalki, jedną trochę uszkodziła bomba, ale ta była i jest O.K. Nazywa się Gertie, Sir." — "Ile masz lat, Smith?" — "Za trzy miesiące skończę 19, Sir." Pułkownik wycofał się na werandę. Za nim ruszyli się oficerowie. Kierowcy i mechanicy otoczyli Smith'a i jego dużą lalkę z *papier-maché*.

Tegoż wieczora w Beni Quid'zie, w obozie Służby Transportów narodziła się nowa swawolna piosenka o Dirty Gertie. Nazajutrz kolumny transportowe dowiozły na front oprócz zwykłej amunicji, wody i żywności — także i nową piosenkę. Wracające eszelony zawiozły piosenkę do Kairo. Piosenka przyjęła się — była jak ogień na stepie. Gdy 8-ma Armia minęła Sfax, znalazł ją już co drugi żołnierz. Gry brano do niewoli resztki Afrykańskiego Korpusu z samym gen. Arnimem na czele — żołnierze 8-ej Armii uczcili tę chwilę śpiewając "Dirty Gertie." Z "Dirty Gertie" na ustach opanowali Sycylię — weszli do Włoch.

Od miesiąca już nie widziałem tych zuchów. Nie wiem, czy jeszcze zamierzają wmaszerować do Rzymu z "Dirty Gertie" na ustach, czy może już mają jakąś nową piosenkę, a "Dirty Gertie" poszła w zapomnienie wraz z "Waltzing Mathildą" i "Lili Marlene."

Dziwnie się rodzą, dziwnie żyją i giną żołnierskie piosenki wojny obecnej. Ale to, że Wy szanowni państwo ich nie znacie — to jeszcze nie dowód, iż ich nie ma.

BOLESŁAW POMIAN

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3580 książek

Uzbrojony Krążownik Pomocniczy

Może to jest dziwne, niezrozumiałe, a nawet dla wielu i nie-realne, że okręt wojenny, każdy statek handlowy jest czymś co rodzi się żyje i umiera — czasem naturalną, czasem nienaturalną śmiercią. Pasażerski statek "Nadzieja" na świat wydała twarde ręce robotników Glasgow. Myśli konstruktorów, żmudna, codzienna praca majstrów i czeladników — ich troski, radości, bóle i zmartwienia zakłętę zostały w wysmukłej linii kadłuba, pięknym rysunku wysokiego dziobu i przysadzistej, choć nie za niskiej rufie.

Pomost, duży obszerny pomost, górował ponad pokładem. Stąd to iść miały wszelkie rozkazy, tu był mózg okrętu. Serce, to przysłowiowe serce, lśniąca była i tak jak w każdym organizmie twarde a skomplikowane. Maszyny statku z najlepszej zrodzone stali dumą napawały mechaników. Luksusowe rozwiązanie wnętrza stanowiło chlubę kompanii okrętowej, do której po ostatecznych próbach statek ze stoczni został przekazany.

Na tydzień czy dwa przed zawarciem pokoju, po zwycięskiej pierwszej wojnie światowej, przedstawiciel towarzystwa podpisał stoczni ostatni dokument, a z momentem wręczenia czeku opiewającego na cyfrę siedmiolicebową, statek uznany został za zdolny do służby. To tak zupełnie jak w życiu, gdy z momentem zakończenia nauk, młody człowiek otrzymawszy ten czy inny patent, rozpoczyna spłacanie wielkiego długu, zaciągniętego przez okres młodzieńcy u swych rodziców. Przyszłość, cała w barwniej i obiecującej perspektywie rozciągająca się przyszłość, leży przed nim otworem. Już od wartości danej jednostki tylko i wyłącznie zależeć będzie, czy z zadania nałożonego nań zdoła się wywiązać.

"Nadzieja" zdawała się rokować jak najlepsze widoki. Pierwszy jej rejs ustalony został na parę dni po podpisaniu pokoju, New York był portem przeznaczenia. W barach statku strugami płynął szampań, w licznych salonach rozbrzmiewały dźwięki jazzów. Śmiech, i bez troski nastroj królowały. Przez kilka lat "Nadzieja" chodziła z Southampton do Stanów Zjednoczonych, ale zmieniły się trochę czasy, ludzie i potrzeby.

Wreszcie przyszedł dzień, w którym kompania okrętowa uznała jej szybkość za niewystarczającą. Trasa rejsów ulega zmianie. Dziób "Nadziei" prul gładką jak lustro tafle Morza Śródziemnego, pokłady surzyły słońce i wiatr wiejący z ponad pustyni, kabiny zamieszkiwali, prócz wiecznie spocynych Europejczyków — bogaci Hindusi, nie brakło przedstawicieli rasy żółtej... Singapore był punktem docelowym.

Przyszedł okres światowego kryzysu. Wolne numery kabin, a zwłaszcza droższych klas, zdawały się go potwierdzać. Ale i to minęło. Znow pokłady zapelnily rzesze turystów, znow wszystko zdawało się iść starym torem. Czegoś jednak brakowało. Ogólna atmosfera ulegała zmianie. Rozmowy prowadzone we wszystkich salonach, barach czy kabinach przeładowane były polityką. Bez troski uśmiech coraz częściej zniknął z twarzy...

Aż wreszcie kiedyś, a było to zdaje się po gruntownym remoncie "Nadziei", gdzieś w pierwsze gorące dni września, gdy powtarzane za komunikatami radiowymi słowo wojna zelektryzowało wszystkich, Kompania okrętowa robiła co tylko była w stanie, by jakoś podtrzymać utracony nastrój, lecz wszelkie próby okazały się bezskuteczne. Słowo wojna padało z ust pasażerów w dziesiątkach niemal języków. Po raz pierwszy po zapadnięciu zmroku nie zapalono lamp oświetlających pokłady, po raz pierwszy w przeprowadzonym ćwiczebnym alarmie opuszczenia statku wzięli udział wszyscy pasażerowie.

Coś się dzieje — miarowo i w takt powtarzały spod dolnych pokładów maszyny. Wojna? "Na-

Jedna z ostatnich prac śp. Sopoćki, który zginął na O.R.P. "Orkan". Nazwy w niej użyte są oczywiście zmyślone.

dzieja" nie rozumie tego słowa. Okres jej pamięci nie sięga tak daleko.

Rejs odbył się bez przygód. W drodze powrotnej rozkazy skierowały statek do Gibraltaru. W obszernej zatoce z widokiem na potężną, granitową skałę, stało zakotwiczonych kilka dużych statków pasażerskich, parę pomniejszych transportowców i dużo różnych typów okrętów wojennych. Nazajutrz — jeszcze przed wschodem słońca — podniesienie kotwicy. Gdy dzień wstał "Nadzieja" płynęła dziwnie jakoś wolno na czele jednej z kolumn statków znanych jej z Gibraltaru, po lewej burcie o milę może od niej oddalonego kontrtorpedowca o niskich burtach i długiej, wyciągniętej sylwetce kadłuba. Konwój — powtarzały głosy na pokładzie.

Po powrocie do Southampton "Nadzieję" wprowadzono do suchego doku. Przyszli robotnicy, by nieskalaną biel jej burt pokryć szaro-stalową, ochronną barwą. Na pokłady wstawiono kilka dział, zmieniono parę wewnątrz magazynów, przystosowując je do pomieszczenia pocisków i prochu. Część kabin została zniesiona, w miejsce wygodnych koj wkręcono haki dla zawieszenia hamaków. Przeszło połowa

starej załogi opuściła statek. pozostała reszta ubrała inne mundury. Na pokładzie odbywały się ćwiczenia i choć zaledwie dzień został do wyjścia z portu, nikt nie myślał, ani nie mówił o pasażerach.

Wreszcie odkotwiczenie. Dowódca, jakiś inny dowódca zebrał załogę. — "Od dziś jesteście rzeczywistymi i czynnymi członkami Marynarki Królewskiej — pamiętajcie o tym" — powiedział. — "Chciałbym, aby ten Uzbrojony Krążownik Pomocniczy, o nazwie symbolizującej myśli nasze, dał nam to, czego pragniemy."

Jego Królewskiej Mości Okręt "Nadzieja" — zrozumiała.

Znow był konwój. Tym razem sylwetka "Nadziei" w szarej bojowej szacie, widniała na jego czele. Na maszt raz po raz podnoszono flagowe sygnały. Pod równikiem konwój rozdzielił się. "Nadzieja" poszła w kierunku na Południową Amerykę, by stamtąd przez cieśninę Magellana wyjść na Ocean Spokojny.

Tu zaczął się dla niej nowy okres. Okres śmiertelnie nudnej służby patrolowej wzdłuż brzegów Peru i Chile. W portach tych dwóch republik znajdowała się pewna ilość niemieckich statków handlowych zaskoczonych wybuchem wojny. Zadanie "Nadziei" polegało na pilnowaniu, by tam już

do końca wojny pozostały, w wypadku zaś próby wyjścia — zatopienie, względnie abordażowanie z chwilą, gdy którykolwiek z nich przekroczy granicę wód terytorialnych. Praca była ciężka. Raz na dwa miesiące na dwadzieścia cztery godziny wejść można było do portu i to po to tylko, by załadować prowiant oraz pobrać węgiel i ropę.

Pogoda w tych stronach globu ziemskiego nie ma nic wspólnego z sielanką. Wiatry i fala, deszcze i sztormy — to warunki atmosferyczne, jakim przeciwstawiać się musiała "Nadzieja." W czasie rzadko pogodnych nocy w pustce i samotności towarzyszyły światła dalekich miast. We dnie widywali czasem co wyższe szczyty w łańcuchu niebieskich gór. Salony i bary wymarły. Zwykły gwar i zabawa, miejsca ustąpić musiały twardemu obowiązkowi. Załoga hartowała się i tęskniła. Tęskniła i hartowała. Miesiące mijały — drugi rok wojny widniał na horyzoncie.

Aż wreszcie inny jakiś uzbrojony krążownik pomocniczy przypłynął z dalekiej krainy Albionu, by zmienić "Nadzieję." Schowano dobrze zniszczone mapy zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej, wyciągnięto znow mapy Atlantydy. Jeden po drugim z załogi zaczynał golić zapuszczone brody, lecz to okazało się przed-

wczesne i niepotrzebne. Konwoje, i to bez wchodzenia do portów na Wyspach Brytyjskich, stały się dalszym rozdziałem w okrętowym dzienniku zdarzeń. Stronice jego nie były czyste. Raz o mało nie natknęli się na niemieckiego raidera — "Gneisenau" jak się okazało, rzucali bomby głębinowe na nieprzyjacielskie okręty podwodne, a kiedyś przeżyli ciężki atak z powietrza, tracąc dwa statki z konwoju. Okręt wyglądał co raz bardziej zniszczony. Co raz częściej meldowano drobne uszkodzenia tak w mechanizmach głównych, jak i pomocniczych.

Przyszła wiosna 1941 roku. Do Wielkanocy kilka zaledwie dni. "Nadzieja" otrzymuje rozkaz zostawienia konwoju sto mil od brzegów Irlandii a potem płynięcia na remont. Spełnienie marzeń. Sny stają się rzeczywistością. Humory dopisują. Załoga czyści i prasuje wyjściowe ubrania. Nawigator bez przerwy oblicza przebyte mile. Wieczorem w Wielką Sobotę przychodzi zmiana. Dowódca podaje nowy kurs. Ustala się kolejka urlopów. Przygotowuje się listy remontu.

Wstał piękny poranek Wielkanocnej Niedzieli. W powietrzu prawie cisza. Nieskalany błękit nieba plamą chmury, niby bukiet weselny chwijające się ponad północną częścią oceanu. Maszyny pracują w przyspieszonym tempie. Okręt raz po raz robi zwrot. Bezpieczeństwo nakazuje zyzakowanie. Sygnalista stojący na prawym skrzydle wydał zduszony okrzyk: torpeda. Na pomoście robi się poruszenie.

Kadłubem "Nadziei" wstrząsnął bolesny wybuch. Wysoka fontanna wody z czarnym szczytem dymu i ognistą podstawą wytrysnęła spod ranionej części. Okręt przechylił się. Serce na chwilę stanęło. Białe kłęby pary walące przez zawory bezpieczeństwa, spowijają pokłady mgłą. Mózg okrętu pracuje... Rozkazy dowódcy wciąż jeszcze są przekazywane. Meldunki bliżej określają spowodowane zniszczenia. Torpeda trafiła w dziobową część kadłuba tak nieszczęśliwie, że w samą prawie grodz wodoszczelną. Część pomieszczeń załogi i magazynów ze sprzętem pokładowym obrócona została w perzynę. Woda zalała dwa przedziały i wolno przesączała się zaczyna do trzeciego.

Zdołano uruchomić maszyny. Część marynarzy zajęta jest uszczelnianiem grodzi dzielącej drugi przedział od trzeciego. Marynarze niby sanitariusze starają się przyjść z pomocą rannemu. Reszta załogi na wachcie. Szybkość okrętu spada do paru zaledwie węzłów. Manewrowanie w tych warunkach staje się utrudnione tym więcej, że dziób, jest zatopiony, kadłub powyginany wybuchem i cały okręt wolno, lecz stale nabiera prawoburtowego przechyłu. Serce choć pracuje, nie jest zupełnie zdrowe. Przewody parowe — niby arterie — nie są szczelne. Ciśnienie w kotłach pomimo intensywnego palenia nie daje się podnieść. Radio-stacja okrętowa wysyła sygnał o wypadku. Byle tylko przetrwać — pomoc idzie.

"Nadzieja" wie o tym. Nie poddaje się. Przeciwnie prze naprzód całym wysiłkiem uszkodzonego i zbolalego kadłuba. Minuty mijają. Okręt ciężko dyszy. Przy działach są pełne obsady gotowe utworzyć ogień w chwili wynurzenia się napastnika. Dzieśiątki ocz szukają peryskopu...

Torpeda — jeszcze jeden okrzyk. Tak. Druga torpeda. "Nadzieja" czuje to. Wybuch kotłów jest ostatnim jej jękiem. Okręt zaczyna szybko tonąć. Agonia. Spuszczono łodzie. Część załogi znajduje w nich ratunek.

Martwy kadłub okrętu opiera się wciągającej go wodzie. Ale mimo to co raz to mniej wystaje go na powierzchnię. Teraz jakiś wybuch, krwotok wewnętrzny. Wrak pod jego wpływem drgnął po raz ostatni w śmiertelnym skurcu. Koniec. Tylko wir wody, gęsto wyskakujące bańki powietrza, belki jakieś, parę kół ratunkowych i pasów znaczy przez chwilę miejsce, gdzie przed paru jeszcze minutami stała "Nadzieja." Jego Królewskiej Mości Uzbrojony Krążownik Pomocniczy "Nadzieja."



Eryk Sopoćko

Papier jest cierpliwy a pisanie nie jest rzeczą trudną. Jednak już w pierwszym okresie twórczości talenty wybijają się i wstępnym bojem zyskują poczytność. Takim właśnie wstępnym bojem, zdobywał ś.p. Eryk Sopoćko — podporucznik Polskiej Marynarki Wojennej — laury pisarza morskigo.

Odszedł zbyt wcześnie, by dać rozbrzmieć gwiazdzie talentu. Jak Eugeniusz Małaczewski — poeta-żołnierz z tamtej wojny — nie zdążył ukazać wszystkich możliwości, objawiających się w miarę krzepnięcia i doskonalenia się daru pisarskiego. Torpeda niemieckiego okrętu podwodnego przecięła nić młodego życia przedwcześnie.

Sopoćko — urodzony w Kijowie — był wychowankiem korpusu kadetów w Rawiczu. Do Anglii przybył jako podchorąży Marynarki Wojennej z pływania szkolnego na "Iskrze." Trafił na "Orla" i był na tym słynnym okręcie podwodnym w czasie storpedowania "Rio de Janeiro." Zeszedł zeń w końcu kwietnia 1940, by przejść jako stazysta na okręty brytyjskie. Na "Rodney'u" brał udział w zatopieniu "Bismarcka."

Jakiś czas pełnił funkcje na lądzie i z ówcego okresu pochodzą jego dzieła: "Orzeł's Patrol", "Gentlemen, the Bismarck has been sunk," sztuka teatralna "3rd of May." Pisał oczywiście nie tylko na lądzie. Świadczy o tym wiele felietonów i reportaży pisanych pod bezpośrednim wrażeniem akcji. Jeden z ostatnich: "Ironia losu" — historia 46 podwodników niemieckich wyratowanych przez O.R.P. "Orkan" — jest pełen okolicznościowego realizmu.

Niektóre z felietonów drukowane były już po śmierci autora. Ze wszystkich przebijają ta sama prostota i ta sama głęboka uczucio-

wość. Słowa są zwykłe, nienapuszone, zdania krótkie, jak bojowe rozkazy. Ale całość robi głębokie, nieraz wstrząsające wrażenie.

Jego książki ogłoszone w języku angielskim powinny czym prędzej doczekać się następnym wydań. To już nie "interes" i nie prywatna sprawa. Chodzi o polski dorobek pisarski, o historię naszych walk na morzu, o to, co te walki i ten tragicznie zerwany dorobek może zaważyć na opinii świata. Nie wolno tłumaczyć się, że wydawca angielski chce to wydać po wojnie, że brak papieru, że okoliczności są niesprzyjające...

Podporucznik marynarki Sopoćko śpi snem wiecznym w głębinach Atlantydy. Ale wimien w swych dziełach żyć dla Polski długie, długie lata. Może jej służyć, jako pisarz, jeśli przestał służyć, jako żołnierz.

JULIAN GINSBERT

Jako członek jury konkursu "Wiadomości Polskich" na pamiętnik żołnierski miałem możliwość czytać pierwszą próbę Sopoćki, opis patrolu "Orla" — w rękopisie. Był to rękopis, jak wiele rękopisów konkursowych. Przede wszystkim — olbrzymi, wielomówny. I trzeba to powiedzieć: zniechęcający od pierwszych stron. Zdawało się, beznadziejny. Autor próbował poruszać na nich niby-ludzi, sztywnych, jak z drzewa albo wiotkich, jak z gutaperki, potykających się o własne głowy i ręce. Próbował oddać to, co mówią, próbował nas przekonać, że wokół nich jest powietrze i światło. Ale zamiast tego osiągał efekt martwego kłapania drewnianych szczek, groteskowego psykania, które wydają dziecinne zabawki. Nie sposób było uwierzyć, że przestzeń o którejś mówi — port, okręt — gdzieś istnieje naprawdę.

Gdyby poprzestać na tych kilku czy kilkunastu pierwszych stronach, należało by rękopis zdyskwalifikować bezapelacyjnie. Ale na dalszych kilkudziesięciu stronach dokonywało się coś, co trochę graniczyło z cudem, coś, czego się dotyka, co się ogląda żywymi oczami niezmiernie rzadko — rodził się pisarz. Można powiedzieć, że urodził się pod naciskiem wstrząsającego przeżycia, ludzkiego odręszczenia niebezpieczeństwem, ludzkiego strachu przed śmiercią, ludzkiego i męskiego przezwyciężenia strachu i udreki.

Opis tropienia i bombardowania "Orla" przez kontrtorpedowce niemieckie należy do rzędu najbardziej autentycznych i trwałych świadectw, jakie o tej wojnie w mowie polskiej zostawiono. Wszystko w tym świadectwie: ruch przedmiotów, wahanie się światła, szszarzałe twarze ludzi, dygot serca, zużywanie się powietrza, wybuchy bomb głębinowych, puchnięcie czasu, nabrzmiewanie minut w godzinę, godzinę w doby — wszystko jest bezwzględnie i ostatecznie prawdziwe.

Wiele miesięcy po tej lekturze poznałem Sopoćkę osobiście na jednej z konferencji prasowych u Ministra Obrony Narodowej. Czytał specjalnie napisaną rzecz o "Orle" — żarliwą, patetyczną, trochę naiwną. Ale bardziej od tego, co czytał był uderzający on sam. Palił się jakimś jasnym ploniem, promieniał siłą wiary, przekonania, solidarności z tym, co mówił. Myślałem wtedy, że jest w nim materiał na pisarza, na epika, na mordercę i marynarskiego trudu. Gorzko jest mi dziś pomyśleć, że ta możliwość została stargana, że Sopoćko musiał umrzeć i umrzeć tak wcześnie, aby zaświadczyć, iż to, co pisał było prawdziwe.

TYMON TERLECKI

ERYK SOPOĆKO

III.*

LOTNISTKO I KOMARY

Wzywają mnie do Kwatery Głównej Lotnictwa Lewantu. Jutro mam wyjechać na lotnisko, które przeznaczono polskiemu dyonowi. Odbieram wskazówki i skoro świt wyjeżdżam do doliny Esraelonu, poprzez silny maszyn górski Nablu. Ta górzysta i nieurodzajna część Palestyny jest zamieszkała przez najbardziej niespokojne plemię arabskie. Zamieszkała — jest w tym trochę przesady, bo wspinała droga górską o rozlicznych serpentynach bardzo rzadko przechodzi przez osiedla ludzkie. Dopiero z samolotu widzi się, że na szczytach gór i ich zboczach gnieźdzą się osiedla arabskie.

Dojeżdżam do Jenin'a, małego miasteczka arabskiego w wejścia do doliny, o której mowa. Obok niego znajduje się oboz z gimnazjum i liceum dla dziewcząt polskich. Przy wyjeździe z miasteczka tablice przydrożne ostrzegają, że dolina jest malaryczna i że w promieniu 10 mil, nie wolno zakładać żadnych obozów. Dolina to urodzajna i pięknie położona. Od zachodu zamknięta górami Kar- mel, słynnymi z winnic, od północy górami Nazaret i Tabor, od wschodu Jordanem i jeziorem Tyberiaczkim.

Po kilku milach dojeżdżam do lotniska. Strzegą go kolorowi żołnierze, ale jest puste. Oczekuje nowych przybyszów. Piękne wybiegi startowe, baraki mieszkalne i wszelkie niezbędne dla służby lotniczej i życia lotników urządzenia. Nie spodziewałem się, że dostaniemy tak piękne lotnisko. Czekam na oficera angielskiego, który ma przylecieć z Haify, aby omówić bliższe szczegóły zakwaterowania. Obchodząc baraki mieszkalne przy- padkowo natknąłem się na gentel- mana w mundurze, który siedząc w cieniu zajął się spokojem sand- wicze z rozwinętego co dopiero papieru. Nie zmieniając pozycji ani nie przerywając jedzenia, po- prosił mnie, abym usiadł obok.

— Bo widzi pan, czekam tu na pana już od 10-tej rano. Jestem oficerem od zwalczania malarii. Chciałbym zatem uprzedzić pana o niektórych rzeczach, przed przy- byciem polskiego dyonu. A więc — ciągnął dalej, zjadając smacznie pomidora wkręczonego pomiędzy kromki chleba — malaria tu jest wysoka. A właśnie zbliża się jej największe nasilenie. Widzi pan tę wieś arabską za tym wzniesie- niem?

Przysłoniłem oczy ręką od słoń- ca i szukałem tej wsi. To nie jest tak daleko stąd, kilka mil zaledwie, tylko nam te wzgórza nieco przeszkadzają.

— Widzi pan, to dobrze. — Skończył włożyć co dopiero do ust kęsek chleba i z tajemniczą miną oświadczył: — Panie, to jest naj- większe siedlisko malarii.

— Zapewniłam panu nie będzie- my się z tą wsią komunikowali.

Roześmiał się głośno i patrząc złośliwie zza wielkich okularów wyrecytował ścisłym głosem:

— Czy pan myśli, że malaria się udziela przez stosunek płciowy? Czy pan kiedyś slyszal o komarach malarycznych? A czy pan nie wie, że one nie tylko umięją, ale i lubią latać, może nawet lepiej od was. Widzial pan kiedy komara? On w locie jest prawie niewidoczny. —

Gdzieś z przepastnych kieszeni swego mundur tropikalnego wy- ciągnął jedną po drugiej różne flaszeczki i próbówki. — O, widzi pan, to komar malaryczny zwy- czajny. To samiec, a to samica. Ten okaz pochodzi z bagnistych o- kolic Nilu, a ten z Persji. Ale cze- kaj pan, pokaże panu unikat. — Wyciągnął nową próbówkę: po jej wewnętrznych ściankach laziło jakieś komaryszko. — Dział go zła- pałem, z tej oto wsi. Ładny okaz?

Musiałem mieć przy tym głupi- minę, bo jako żywo z owadów do- kuczliwych znalazłem dotychczas mu- chy i pchły. Inaczej jednak sądził, ten, zapewne profesor-owado- znawca, kiedy mi zaproponował u- przejmie, abym go odwiedził w do- mu i oglądał daleko ciekawsze o- kazy. Notowałem z grzeszności je- go adres, słuchając dalszego wy- kładu. Żołnierze nie mogą chodzić nago, ani nawet w szortach, spe- cjalnie pod wieczór. Spać tylko pod siatkami przeciwmoskitowymi. Maści przeciwmoskitowych nie za- łóżać na odsłonięte części ciała. "One" tego bardzo nie lubią. Naj- lepiej było by nosić specjalne ma- ski z siatki na głowę i twarz oraz rękawice.

*Por. nr. 9 i 11 "Polski Walczą- ciej," z b.r.

Debatałem. Więc jak to, gorąco, że ledwo wytrzymać można, wszy- stko mokre od potu, a tu pan pro- fesor zaleca, aby się wysmarować paskudną pastą przeciwmoskitową, włożyć ubranie z długimi nogawkami i rękawami, na głowę worek z siatki i rękawice na ręce. Tak piloci mają latać i tak mechanicy pracować przy maszynach, szofe- ry przy wozach, a parzygnaty przy kuchni. Nie wytrzymałem, zacząłem wolno i dobitnie:

— Jestem panu bardzo wdzięczny za interesujący wykład i zbawie- nie rady, ale kiedy wyjeżdżałem w tę okolicę czytałem obryzmie tablice ustawione przy drodze, głoszące o niebezpieczeństwie malarii, jaka tu panuje. Czy by zatem nie było rozumniej umieścić nasz dywizjon gdzieś indziej, w okolicy mniej niebezpiecznej?

Spojrzył na mnie ze zdziwie- niem.

— To małe nieporozumienie, czy pan mnie uważa za oficera kwate- runkowego Lewantu? Jeśli tak, to "sorry," nie ten adres. Żegnam pana. — Na odchodnym odwrócił się jeszcze i wykrztusił: — W każ- dym razie proszę pamiętać o sro- dkach tu zaleconych, bo na pana ciąży niejaką odpowiedzialność.

Szlak mnie trafił. Nie wiedzia- łem czy łapać za rewolwer, czy wyrwać mu tę próbówkę z żywym komarem i rozbić na nosie. Niech go tnie i da sposobność do prak- tycznego poznania malarii.

Oficer, z którym się umówiłem przyleciał. Jadę więc na lotnisko. Wyluszczałem mu wszystkie moje o- bawy.

— Niech pan nie przejmujecie się tym, co panu powiedział. Malaria istnieje na całym *Middle East*. Tylko w jednych miejscowościach silniejsza, w innych słabsza. Tu nie tak dawno stał amerykański dywizjon lotniczy i poza kilkoma przypadkami malarii nic tak groź- nego nie było. Oczywiście trzeba zachować pewną ostrożność. Zresztą jeśli szef sanitarny uzna tę miejscowość za niebezpieczną pod względem zdrowotnym, to was przeniosą gdzie indziej.

W SZTABIE OPERACYJNYM

Omówiłem z nim sprawy służbowe, pożegnałem się i bacznie pilnie, aby mnie jakieś złośliwe stworze- nie nie ukąsiło, pojechałem do me- go stałego miejsca zakwaterowa- nia, t.j. Sztabu Korpusu. Dowództwo Korpusu rozlokowane w namiotach i barakach, jak tu zresztą wszystkie wojska, znajdowało się w południowej części Palestyny w pobliżu morza. Miejscowość ta nosiła nazwę Kilo 89. Nie ma jej co szukać na mapie, albowiem na- zwa jest tylko liczbą kilometrów od

jakiejś tam miejscowości głównej, według układu tego instytutu geo- graficznego, który ją wydał.

Przedstawiłem gen. Andersowi sprawę lotniska, prosząc o inter- wencję u władz angielskich. Raz, że jest malaryczna, a po wtóre, że daleko położone od Sztabu Korpusu. Zgodził się całkowicie i polecił przedstawić odpowiedni wniosek. Wniosek ten poskutkował, bo póź- niej przeniesiono dyon na inne lot- nisko. Zwłaszcza że dość duży procent żołnierzy znalazł się w szpi- talu.

Sztab Korpusu, jak sztab każ- dego wyższego dowództwa dzieli się na dwa rzuty: operacyjny i kwatremistrzowski. Ten pierw- szy przygotowuje wszystkie ele- menty do decyzji dowódcy, a kiedy decyzja zapadnie, rozpracowuje ją w postaci rozkazów i zarządzeń. Zadaniem drugiego to zaopatrze- nie i transport dla wojsk walczą- cych, uzgodnione z zarządzeniami pierwszego w czasie i w przestrze- ni. Nie będzie żadnej przesady, gdy określimy sztab mianem móz- gu walczących wojsk. To nie wy- kład dla słuchaczy Wyższej Szkoły Wojennej, dlatego nie będziemy się bawili w szczegóły. Pracę obu tych sztabów jednoczy Szef Sztabu, prawa ręka dowódcy Korpusu. Obecnie sprawuje ten urząd oficer o dużej przeszłości bojowej i szta- bowej. Zna swój fach, jak mało kto. A ponieważ ma dobre w głowie i nie pozuje na Napoleona, więc są wszystkie dane, że z pożytkiem potrafi się wywiązać z swych obo- wiązków. Dobry szef sztabu Kor- pusy potrafi być i dobrym szefem sztabu armii, czy frontu. Dziś o- perujemy korpusami, a jutro może operować będziemy armiami.

Moje miejsce jest przy sztabie operacyjnym. Jemu też najwięcej uwagi poświęcam. W sztabie tym mamy jak gdyby dwie klasy, bo szkoła jest ta sama. Wszyscy ukończyli Wyższą Szkołę Wojenną w Polsce, a tu uzupełnili swe wiadomości na sztabowych kursach angielskich. A więc klasy: starsza i młodsza. Starszą reprezentują starsi, nie starszy — zastrzegam się. Ot tak po czterdzieści parę lat, a więc w wieku dojrzałym, me- skim. Mają oni duże doświadcze- nie w pracy sztabowej z czasów p- kojowych i naszej wojny. Młodzież przeważnie o doświadczeniu lini- owym, uzupełnionym studiami.

Klasy te różnią się od siebie nie w zasadniczych poglądach, ale w takich lub innych rozwiązaniach. W rozlicznych zażartych dysku- sjach z racji tego czy innego c- wiczenia, czy też istotnego wojenne- go zdarzenia, wyładowują się tem- peramenty sztabowe. Starsi, jak przystało na wiek męski są ostro- żni w ocenie. Kalkulują na zimno

z ołówkiem w rękę, biorąc pod u- wagę wszystkie za i przeciw. Li- czą się zawsze z rzeczywistością pola walki i możliwościami wyko- nania. Młodych ponosi tempera- ment. Imponują im śmiałość i ryzy- kowne nierzaderzenia niemieckie, mniej natomiast rachunkowe i ściśle przygotowanie angielskie. Rywalizacja prawdziwie szła- chetna, pozbawiona fałszywych ambicji i niezdrowych rozłamów na starszych i młodszych, jakie świeży swego czasu odrażające triumfy we Francji i Anglii.

Pewno, że tam nie wszyscy są aniołami, nie wszyscy może są bez zarzutu, ale odnosi się to do zdecy- dowanej mniejszości bez większe- go znaczenia i wpływu. Trzon jest zdrowy, a to najważniejsze. Ka- żdy ma możliwości i warunki wybi- cia się. Każdy może dać ze siebie wszystko na co go stać. Konkuruje mózg, rachunek, logika, jasność wnioskowań i zdolność przewidy- wania. Tam nie ma konkurencji dywizjonu lotniczego czy szwadronu pancernego na temat, kto lepiej prowadzi samolot, czy samochód pencyrny. W trusie mózgow, ja- kim jest sztab wielkiej formacji wojskowej, może i powinien kon- kurować tylko mózg, a nie urodze- nie, czy przyjemny wyraz twarzy, lub co gorzej jeszcze, zdolność do posługiwania się "waseliną" w karierze życiowej.

Szkoda, że dziś, kiedy do walki bojowej idzie nasz Korpus, mo- żemy dać pole do popisu tylko jednemu sztabowi. Jeżeli nie może być inaczej, zapeł- nijmy go stażystami. Niech słuchacze Wyższej Szkoły Wojen- nej mają możliwość przejść tam praktykę pracy sztabowej, zamiast czerpać ją tylko z teorii. To samo dotyczy i lotnictwa. W ramach Korpusu jest ono małe. Na to nie ma rady, bo takie są ramy orga- nizacyjne. Korpus ten będzie ko- rzystał ze współpracy lotnictwa, a w tej dziedzinie nie mamy nowo- cześniego doświadczenia bojowego. Niech zatem drogą stażów w Kor- pusie i w Armii, do której bę- dzie on należał, zdobywają do- świadczenia z zakresu lotnictwa taktycznego wszyscy ci lotnicy, którzy w tym rodzaju lotnictwa bę- dą pracować w Wolnej Polsce. Obyśmy tego nie przegapili i nie spóźnili się bo taka okazja może się już drugi raz nie powtórzyć.

PIERWSZE ĆWICZENIA

Pierwsze wielkie ćwiczenie, w którym biorę udział odbywa się wewnątrz Korpusu bez udziału obcych jednostek. Jest ono przy- gotowaniem wstępnym do wielkich ćwiczeń, jakie się mają odbyć nie- długo z armią angielską. Ćwicze- nia z nieodzowną stroną czerwoną

i niebieską, są sprawdzianem pra- cy sztabów wielkich jednostek i wytrzymałości oraz sprawności wojsk. Sztab Korpusu pełni tu ro- lę kierownika ćwiczeń i rozjemcy. Odbyły się one póżnym latem w górskiej, nieurodzajnej i spalo- nej słońcem części Palestyny. Żo- lnierze dawali ze siebie wszystko. O sprawności przekonałem się sam, lecąc na "Hurricane" ce- lem skontrolowania kamuflażu oddziałów na postojach i w mar- szu. Piękna droga asfaltowa, pro- wadząca do pozycji wyjściowej do natarcia świecila pustką. To nie- możliwe, myślałem, oni muszą tu być. Przyglądając się uważnie są- siednim jarom i wąwozom podzi- wiałem przez jak nieprawdopodob- ny teren szły kolumny nawet z ciężkim sprzętem wojennym. Na postojach rozrzucono samochody w terenie, wykorzystując każdą je- go faldę i załom na ukrycie. Roz- poznanie rozsypanej w terenie pie- choty było prawie niepodobień- stwem.

Widać było solidną robotę, jeśli chodzi o nowoczesne wyszkolenie żołnierzy i kierowców. To ostatnie należało by specjalnie podkreślić. Dziś Korpus ma zapewne więcej mechanicznych środków transpor- towych, aniżeli ich posiadała Armia Polska w 1939 roku. Kiedy armia wschodnia wyszła z Rosji, wysunęła się na pierw- sze miejsce sprawa szoferów. Był to problem liczony w ty- siącach. Skąd ich wziąć? Za- częto szkolić intensywnie. Ale nie zapominajmy, że armia nasza na Środkowym Wschodzie składa się głównie z żołnierzy z wschodnich dzielnic Polski, a więc z rolników. Latwo wyszkolić na szofera ślusar- za, ale człowieka, który chodził za plugiem, nie jest tak łatwo.

Ćwiczenia, jak to zawsze bywa, obfitowały w ciekawe i wesołe epi- zody. Trzeba do nich niewątpliwie zaliczyć kawał "dwojkiarski" cze- rwonej strony. Strona ta, zmuszo- na naciskiem przeciwnika do o- puszczenia pewnego wysuniętego rejonu wzgórz, pozostawiła dla ce- lów wywiadu dobrze ukrytą w roz- padlinie skalnej stację nadawczą z radiotelegrafistą. Wiadomości o nieprzyjacielu miał dostarczać oficer wywiadu przebrany za Arab- kę. Wybrany do roli szpiega m- łody oficer dobrze się do tego nada- wał. Przystojny brunet, smukły, pod strojem arabskim niczym nie zdradzał swej płci. Arabka była bezczelna, zalotna, zacięta oficer- ica i żołnierzka, posługując się la- manym językiem angielskim. Ża- dnemu z żołnierzy nie przyszło do głowy, że Arabka w tym kraju nie jest nigdy zaczepna, ani nie włada innym językiem poza arabskim.

Przypadek zrzucił, że Arabka dokonując swego niecnego proce- dery, nie zauważyła, iż z drugiej strony drogi zaphanej samocho- dami stoi arabski policjant, osłupia- ły na widok córki Mahometa, flirtującej z jakimś sierżantem. Na Allaha! Przecież ona sama ciągnie tego giaura do grzechu. Poskoczył więc szybko do Arabki i zaczął ją indagować w rodzimym języku. Tu się okazało, że Arabka poza kilkoma powiedzzeniami w ro- dzaju "Salem Alejkum" po arabsku ani be, ani me. Przerażenie policjanta doszło do zenitu, gdy Arabka zaczęła mu urągać po an- gielsku i odmówiła towarzyszyszenia na posterunek. Zrozpaczony poli- ciant zażądał pomocy żandarmerii polskiej. Ale tu znów w o- bronie uciśnionej piękności wy- stąpił pan sierżant, uwodzielsko dotychczas służony.

Kiedy sprawa zaczęła nabierać drastycznych kolorów, sama Arab- ka rozwiązała sprawę. — Nie mo- gę — ryknęła najczystsza pol- szczyzną — bo piękne ze śmiechu. I podając z gracją rękę obwieszoną blaszkami oficerowi żandarmerii zaszczebiotała: — Jestem poruc- nik X., taseczk mnie pan do najbli- zszego kasyna, bo zdechnę z głodu, a potem mogę iść do "mamra".

Nie wiem co powiedział pan sier- żant, ale się domyślałem, że lepiej nie powtarzać. Gorzej, bo osłupiały policjant dalej nie rozumiał i zapewne do dziś dnia pomstuje na zanik moralności kobiecej w świecie muzulmańskim.

To jest epizod wesoły, nieodłą- czny od życia żołnierskiego, ale nie znaczy to, aby w czymkolwiek ob- ciężał istotną wartość prawdziwe- go i solidnego wysiłku żołnierskie- go, jaki tam miałem przyjemność zaobserwować. Tego samego za- pewne zdania byli i surowi kryty- cy angielscy, kiedy po ćwiczeniach gratulowali Andersowi dobrze zorganizowanych i przeprowadzo- nych ćwiczeń.

A P E W U

Poszukiwani

108. Piotrówna Stanisława — poszuki- wa Mikowską Karol Anglia /5555/.
109. Podnieśniski Aleksander i Stanisław poszukiwani przez Jerzego Podnieśniskiego Anglia /5555/.
110. Przydatek Helene i Adama oraz dzieci Olenke, Hanke i Bolesława — poszu- kiuje Gromnicki Zygmunt Anglia /5555/.
111. Pawluc Antoniego, 52 lata, majora — poszukiuje Leonia Popławska Alger /5555/.
112. Pajęcki Bronisław szer. — poszu- kiuje żona Józefa i synowie — Eugeniusz, Antoni — Zygmunt zam. w Z.S.R.R. /3800/71/.
113. Paradowski Władysław — poszu- kiwany przez matkę Czesławę i siostrę Da- nutę zam. w Z.S.R.R. /R/10/.

114. Parafinuk Marian szer. — poszu- kiwany przez żone Stefanię i dzieci — Tadeusza i Zygmunta, zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
115. Paryżak Michał kpr. — poszuki- wany przez żone Zofię, dzieci — Kry- stynę, Marię i Tadeusza oraz matkę Cze- rnatowicz Annę zam. w Z.S.R.R. /3800/74/.
116. Pasiecki Antoni szer. — poszu- kiwany przez żone Marię i dzieci — Wi- centego i Lesława zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
117. Powal Stanisław plut. — poszu- kiwany przez żone Leokadię i córkę Euge- nie zam. w Z.S.R.R. /3800/77/.
118. Piątkiewicz Zbigniew i Zygmunt rtm. i oficer /syn i ojciec/ — poszuk- przez żone i matkę Stanisławę i córke i siostrę Marię zam. w Z.S.R.R. /R/123/.
119. Pinkus /bez imienia/ — poszuki- wany przez ojca Majusa i rodzinę zam. w Z.S.R.R. /R/73/.
120. Piotrowski Adam por. — poszu- kiwany przez żone Irene i syna Wiesława oraz matkę Helene zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.
121. Podolak Mikołaj kpr. — poszuki- wany przez żone Katarzynę i dzieci Jana, Stanisława i Jadwigę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
122. Podwojski /bez imienia/ st. sierż — poszukiwany przez żone Anielę i dzieci — Danutę i Alicję zam. w Z.S.R.R. /R/62/.
123. Pudełko Franciszek podoficer — poszukiwany przez ojca Franciszka, żone Stanisławę i córke Franciszkę zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.



SZYBKO WYMIENIAJ BOOK TOKENS

Obecnie, gdy papier jest ra- gionowany i firmy wydawnicze cierpią na brak siły roboczej — książka, którą możesz dostać dziś, może być nieosiągalna jutro. Nie czekaj na nowe wy- danie książki, gdyż może to trwać tygodnie i miesiące. Wy- mień swój bon książkowy — Book Tokens na inne książki. Jest ich jeszcze dużo w księ- garniach.

BOOK TOKENS LIMITED

WYKAZ Nr. 36

CIĄG DALSZY

Osoby te jak również znajomi, po- siadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.
99. Moniuszko Tadeusz szer. — poszu- kiwany przez rodziców Adama i Mariannę oraz brata Władysława zam. w Z.S.R.R. /R/91/.
100. Myślarczyk Stanisław szer. — poszu- kiwany przez żone Władysława i córke Danutę zam. w Z.S.R.R. /R/16/.
101. Niechwiadowicz Borysa ur. 1.1.1924 r. — poszukiuje ojciec Bazyl, Pailforce 214 Polish Forces M.E. /6645/.
102. Nosecki Jerzego — poszukiuje Stanisław Nosecki Anglia /R/16/.
103. Nieduzyski Kazimierza ur. 1898 r. kpt. D.O.K. Lwów — poszukiuje żona Stefania, Alger /5555/.
104. Nowerskiego Tadeusza por. pil. — poszukiuje Stanisław Mieszkowski /4555/.
105. Ochman Józef oficer rez. — poszu- kiwany przez żone Irene i syna Józefa zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
106. Odeński Stefan plut. — poszu- kiwany przez żone Janinę zam. w Z.S.R.R. /3800/70/.
107. Ostrowski Aleksander szer. — poszu- kiwany przez żone Natalie, matkę Urszule i dzieci Zofia i Antoni zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.

Nakładem "Składnicy Księgarskiej" ukazał się marsz poświęcony 10 Grygadzie Kawalerii Pancerniej pod tytułem: "CZARNA BRYGADA" Układ na fortepian Muzyka J. Stojek Harm.: H. Hausman Cena 1/6 Do nabycia w Składnicy Księ- garskiej 8, Hope Street, Edinburgh.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

ADAM WOJTYGA

Mówiło stare polskie przysłowie, że szkoda wyrządzone nam budzi naszą mądrość i czujność. Jakies nowe przysłowie powinno wypowiedzieć się raczej za mądrością, która uprzedza szkody.

Wiele cennego papieru wypisali publicyści polscy w Wielkiej Brytanii, nadaremnie wskazując od roku 1940 na wielką siłę bojową myśli polskiej i piór polskich, na konieczność usprawnienia i postawienia na najwyższym poziomie naszej propagandy cywilnej i wojskowej. Powtarzano i przypominano, że jest to bron pierwszorzędnej znaczenia w wojnie obecnej. Cóż to były za Syzyfowe prace przekonać organizację wojskową o potrzebie rozbudowania nowej broni, coż to był za wysiłek unowocześnić i odświeżyć zaśnieżone pojęcia niektórych „fachowych” ludzi z propagandy cywilnej?

Lepiej dziś nie odkrywać kotarki blackoutowej z tych prztydki. Nie czas na to. Nie czas wspominać sobie naiwność, graniczącą czasem z prowincjonalnym poziomem i grzechy biurokracji, nie wybiegającej myślą w przyszłość, ale trzeba wyraźnie wskazać błędy, gdyż chwila, którą obecnie przeżywamy, wymaga stanowczej i bezkompromisowej rozprawy ze wszystkimi, co tamowało lub tamuje możliwość podniesienia naszego aparatu propagandowego do wyzyna konkurenta.

A konkurent jest starym fachowcem na tym polu, fachowcem przebiegłym; potrafi on na rynku brytyjskim wyrządzać nam niepowetowane szkody, potrafi na terenie Jugosławii katolickich Chorwątów rzucić w objęcia Tita i skierować przeciw prawosławnym Serbom, potrafi uruchomić maskaradowe „Radio Chrześcijańskie,” potrafi prowokować i zaskakiwać. Co więcej odważa się na próby tamania duchowego szeregów żołnierskich Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii. Próby śmieszne i nieudane, ale próby, którym trzeba się natychmiast przeciwstawić.

Żeby konkurentowi dorównać, żeby móc podjąć i wytrzymać takie spotkanie dobrze zorganizowanej perfidii piór i myśli, musi się u nas

dokonać natychmiast generalnej, jednej z wielu, ale tym razem koniecznej — reorganizacji. Trzeba wciągnąć, choćby kosztem innych prac i zajęć, ludzi młodych lub starszych, ale wyczuwających potrzeby nowoczesnej broni propagandowej, tegich w myśleniu i piórze, pomysłowych, więcej — nawet przebiegłych i na gwalt naprawiających błędy straconych lat i miesięcy na tym terenie. Trzeba przestawić od razu aparat informacyjno-dokumentacyjny na nowoczesny aparat walki, bo rola słowa zaczyna się, bo bitwa mózgów i myśli ludzkiej trwać będzie aż do przyszłej konferencji pokojowej i po niej. Tym razem warto zrewidować cały aparat propagandowy i wyjąć w nowej formie na pole bitwy o polowe naszych ziem i całą przyszłość Polski. Warto zaryzykować kilka, choćby bolesnych, „zmian personalnych,” warto z trudem uzyskać kilka „odkomentowań” i „przeńsien,” bo stawka jest nieproporcjonalnie wielka w stosunku do kłopotów zatroskanej biurokracji.

Można darować majorowi, kapelanowi Armii Amerykańskiej, który zapytał mnie niedawno w Birmingham: — „Czy macie na terenie Wielkiej Brytanii samodzielne lotnictwo polskie, czy też lotnicy wasi latają w „barwach” angielskich?”, ale nie, można darować tym, którzy powinni dostarczyć Armii Amerykańskiej potrzebnej informacji i szerzyć wiedzę o Polsce Walczącej w gronie Zjednoczonych Narodów. Można wybaczyć Brytyjczykowi, który z trudnością wymawiając nazwy: „Vilna” i „Lvov” zapytuje, co to za wioski graniczne, ale trudno wybaczyć tym, których obowiązkiem było stale, wytrwale informowanie szerokiej opinii brytyjskiej o wartości tych „wiosek” i tych ziem dla Polski.

Zaznaczyłem na początku, że nie czas na porachunki, ale trzeba sobie powiedzieć szczerze o błędach, by jeszcze dziś je naprawić. Musimy zdążyć do gruntownej napra-

wy aparatu propagandowego. Jakimi środkami dysponuje ten aparat cywilny i wojskowy w tej chwili?

Bardzo skromnymi. W piątym roku wojny idą kilka razy dziennie radiowe komunikaty pod czułą opieką B.B.C. Przesadą było by nazywać to „radiem.” Radio wojskowe, o którego potrzebie pisało się i mówiło od r. 1940, nie istnieje. Film polski, po kilku wyczy-

nach krótkometrażowych, albo niedolnych technicznie, albo nie „chwytających” tematycznie, nie wykazuje w tej chwili należytej działalności. „Chór Wojska Polskiego,” który taką dobrą robotę wykonał na tym terenie, rozparcelowany służbowo, zwoluje od czasu do czasu swoich członków za pomocą komunikatów prasowych. Możliwości nagrywania płyt polskich na tym terenie we własnym zakresie są znikome, w tej chwili właściwie żadne. Prasa . . . w opałach, codzienna prasa polska sfuzjonowana, tygodniki ulatniają się w tej atmosferze jeden po drugim. Krąży niepokojące pogłoski, że doskonały „Voice of Poland” ma przestać wychodzić, „Tygodnikowi Polakowi” z Ameryki cofnięto subsydyum rządowe.

Devastacje w dziedzinie radia, filmu, prasy, dokonane na tym terenie przez obojętność, brak wyuczucia nowoczesnych potrzeb propagandy u wielu ludzi z t.zw. „czynników decydujących” mszczą się i biją nas po głowie w tej bardzo ważnej chwili, może najważniejszej. Wierzę jednak, że gdybyśmy się zabrali do naprawy istniejącego stanu rzeczy po polsku, gorąco, całym sercem, z właściwą nam Polakom „smyką” i talentem, z mądrością, która przychodzi do nas zawsze po szkodzi, można by nie tylko aparat propagandowy naprawić, ale zagrać nim i wygrać. W tej chwili na polu bitwy propagandowej harcuje i grasuje, jak chce, kto inny. Nas tam nie ma.

Oddziaływanie na emigrację cywilną i na żołnierza nie jest w tej chwili aktualne. Żołnierza polskiego obecnie ani pocieszać, ani nastrojać nie trzeba; potrzebna mu jest tylko informacja szybka i rzetelna. Żołnierz polski w obliczu niebezpieczeństwa grożącego całosci Ojczyzny zawsze skupiał się wewnętrznie i zwracał swoje szeregi. Tak jest i teraz. Żołnierz czując powagę chwili, zbliża się do kolegów, staje bliżej dowódców, a obca,

Bez blackoutu

Wotum „Lwowskiej Fali”

Dnia 2-go kwietnia b.r. o godz. 11.30 Wojskowa Czołwika Teatralna „Lwowska Fala” złożyła w Kościele Polskim przy Devonia Road biagalne Wotum na intencję powrotu do rodzinnego miasta. Wotum jest kopią oryginalnego herbu Lwowa, ofiarowanego okrętowi podwodnemu „Wilk” którego Lwów jest „ojcem chrzestnym.” Rzeźbę wykonała bezinteresownie — artystka rzeźbiarka Maria Kruszelnicka.



wrząskliwa propaganda pogłębia tylko jego upór i hartuje wolę. Będąc w ostatnich czasach często w obozach, nie słyszałem z ust żołnierzy słów rozpaczki, niewiary, powątpiewania czy rezygnacji.

Tym bardziej przykro stwierdzić, że niekiedy jednostki cywilne, podobno wysoko postawione w hierarchii urzędowej, przybywając z Londynu do Szkocji zbyt łatwo dają upust swoim nastrojom wewnętrznym, zbyt nieopatrznie wtajemniczają głośno „tubylców polskich” w motywy swojej rezygnacji /broń Boże nie ze stanowiska urzędowego — niestety/, wyrażając żal, ale równocześnie szybko godzą się z faktem . . . rzekomo dokonanym.

To są rzeczy, które muszą w chwili obecnej zniknąć. Nie wolno nikomu, a tym bardziej wysokiemu urzędnikowi wyrażać rezygnacji, choćby miało to miejsce w rozmowach prywatnych. Można „dygnitarzowi” przebaczyć, że nie umie mówić po angielsku, ale nie można mu darować, że tak „umie” mówić po polsku. Są pewne rzeczy dokonane, czy niedokonane, z którymi żaden uczciwy Polak nigdy się nie pogodzi. Jeszcze gorzej, jeżeli taki gość londyński pochodzi z Warszawy, Krakowa, czy Poznania — jeszcze gorzej, bo świadczyło by to o zupełnej stracie sumienia i rozsądku i o tym, że małoduszne wygodnictwo i sokołstwo grasują na terenie naszej malutkiej emigracji.

Przyszła pora wywołać w myślach ducha Rejtana. Niechby wszedł pomiędzy tych łatwo rezygnujących, godzących się z „faktem,” niechby wszedł, niechby nauczył ich słowa: NIGDY, niechby dał mocno rękojęścią szabli po głowie i ocucił. A gdyby i tego było za mało, niechby się położył w drzwiach, które prowadzą na dworzec londyński King's Cross, skąd „kompromisowcy” małokalibrowi i nie reprezentujący nikogo z wyjątkiem swojej naiwności, mogą wyjechać do Szkocji i psuć godną uznania postawę żołnierza.

WIKTOR BUDZYŃSKI

JESZCZE W SPRAWIE STOSUNKU EMIGRACJI DO KRAJU

Szanowny Panie Redaktorze! Po przeczytaniu listu p. Karola Lewkowicza w nr. 10 „Polski Walczącej” /„Przeciw groźbie elitaryzmu”/ nasunęło mi się parę uwag, których moim zdaniem nie należy pomijać przy zastanawianiu się nad wartością i zadaniami naszej emigracji. Notuję je nie w celu przeciwności, stawianym przez p. Lewkowicza, gdyż nie znam środowiska, w którym on czynił swoje obserwacje.

Zaniepokoił mnie jednak ton listu, stwarzający u czytelnika niesłuszne chyba wrażenie, że większość społeczeństwa emigracyjnego, ufając w swe możliwości, sobie wyłącznie przypisuje monopol kierowania życiem powojennym naszego narodu. Śmieszne byłoby to uzurpatorstwo, gdyby kilkadziesiąt tysięcy ludzi, po stwierdzeniu, że wszystko co było wartościowe w Kraju zostało wyniszczone — już tu rozdzielało kierownicze stanowiska w Polsce powojennej.

Czy jednak groźba elitaryzmu jest aż tak powszechna?

Wydaje mi się ważne w omawianiu atmosfery panującej na emigracji, uwzględnić przede wszystkim tych, którzy — jak ich autor listu nazywa — stoją „na peryferiach życia publicznego na emigracji.” Stanowią oni bowiem bezspornie większość naszego społeczeństwa i jakkolwiek nie zabierają głosu w toczącej się dyskusji publicznej, mają bardzo często swój własny, odrębny na te sprawy pogląd. Zainteresowania wielu z tych ludzi bliskie są poruszaniem w prasie zagadnieniom. Jeśli nie znamy ich wypowiedzi, to tylko dlatego, że ich zdaniem, tocząca się dyskusja, poza szumną frazeologią i często zbyt teoretycznymi rozważaniami — nic nowego w ich życie nie wnoszą.

Pamiętam reakcje tych właśnie „outsiderów” życia publicznego, gdy im w jakimś przemówieniu powiedziano, iż „sa na wagę złota, że ich znaczenie w Polsce będzie . . .” — nie warto wyliczać długiego szeregu wspaniałych przemyśleń.

Przemówienie było wystąpieniem niefortunnym, zaś krytyczne ustosunkowanie się słuchaczy było reakcją naturalną i zrozumiałą. Tak było wśród żołnierzy naszego wojska. Nie sądzę, by lotnicy nasi, wykonując swe bojowe zadania nad Niemcami myśleli, iż czynią to na konto swej przyszłej kariery życiowej.

I nie jest tak wśród nas marynarzy. Każdy z nas myśli o powrocie. Z powrotem zaś kojarzy powrót do normalnego życia. Znam nauczycieli, którzy chcą wrócić do swej szkoły, inżynierów, marzących o powrocie do fabryki. Nikt z nas jednak nie sądzi, iż ten powrót zawiązać będą przypadkowi, czy — jak p. Lewkowicz pisze: „jedynie okoliczności, że

w chwili, gdy masy Narodu krwawiły się w walce, oni mieli możność pogłębić swą wiedzę, utrzymać normalne funkcjonowanie swych płuc, żołądków, nerwów . . .”

Chciałbym również słów parę poświęcić tym z nas, którzy mają dziś możliwość kontynuowania studiów. Osobiście bez przerwy służę w szeregach naszych sił zbrojnych, cieszę się jednak na równi z dużą ilością kolegów, że możliwości nauki się wciąż rozszerzają i że jednak doceniać się zaczyna znaczenie przygotowania nowych kadr architektów, lekarzy i t.p. Pragniemy, by możliwie jak największa ilość młodych mogła kończyć studia. I wierzymy, że w swej pracy nie kierują się oni prywata.

Sądzę, że ten odłam naszej emigracji nie jest zarazony elitaryzmem. Nie znam dobrze t.zw. „emigracji londyńskiej.” I jestem widocznie szczęśliwy, iż nie dane mi było spotkać owych „samozwańców kandydatów na stanowiska przywódcze.” Oszczędziło mi to może niepotrzebnej goryczy na długie tygodnie służby morskiej.

Powyższe uwagi notuję, by przedstawić nasze pojęcie o pozostałych grupach emigracji. Wypełniając swe zadanie, wierzymy jednocześnie, iż podobnie pojmują swe obowiązki pozostali Polacy. Nigdy nie będziemy się mogli pogodzić z poglądem, gloryfikującym elitaryzm. Jeśli jesteśmy w błędzie, nie dostrzegając tego rodzaju próby emigracyjnej dyskutowania swych zasług na konto przyszłej kariery — miał rację p. Lewkowicz, zwracając uwagę na objawy tej choroby.

Skrzynka pocztowa

Osobiście podzielam również w pełni i potrzebę pracy twórczej: odbudowy. Myślę, iż więcej miejsca należy poświęcić w prasie naszej na studium o psychice Polaka na emigracji. Na tle przeobrażeń, jakich dokonały lata wojny, wykazać należy rozwijające się schorzenia. Będziemy się mogli w ten sposób wyratować od kompleksu zniechęlenia. Największym nieszczęściem człowieka jest chyba utrata wiary: w siebie i w wartości ideałów pozamaterialnych — w życie społeczne.

Łączę wyrazy szacunku
Zbigniew Zboński

LIST Z AMERYKI

Szanowny Panie Redaktorze! Mam nadzieję, że P.T. Redakcja nie weźmie mi za złe przesyłania numerowanych przeze mnie numerów „Polski Walczącej” — Rodakom w Ameryce. W jednym z numerów „Polski Walczącej” przesyłałem list p. Galińskiej do Redakcji z prośbą o „Polskę Walcząca.” Biorąc pod uwagę poczytność oraz brak „Polski Walczącej” na tamtejszym terenie, postanowiłem wysłać moje numery po przeczytaniu. W odpowiedzi na powyższe otrzymałem list, który załączam. Moim zdaniem, ten piękny list, który, jak sądzę, zainteresuje Pana, jest pięknym dokumentem, co czują i jak myślą Rodacy w Ameryce.

Wierzę, że p. Galińska nie weźmie mi za złe przesłania jej pięknego listu do wykorzystania przez P.T. Redakcję.

Franciszek Lipski /RAF/

Poradnik żołnierski

K.W. — sprawa zakonników w wojsku. Zapytuje pan w swoim liście dosyć ogólnikowo . . . jak się przedstawia sprawa tych ludzi, którzy byli w zakonach, a teraz są we wojsku . . . czy konkordat jest utrzymany ze Stolicą Apostolską . . .

Nie wyjaśnia pan, czy chodzi o zakonnik, który już otrzymał święcenia kapłańskie, czy też o Brata, lub może o nowicjusza. Pisze pan natomiast, że sprawa ta „ciekawia prawie całą kompanię.” Coprawda nie przypuszczamy, aby pańska kompania składała się w całości, lub choćby w połowie z zakonników, nie mniej jednak mamy nadzieję, że poniższe wyjaśnienia zaspokoją ciekawość waszej kompanii.

Otóż konkordat ze Stolicą Apostolską jest w całej rozciągłości wykonywany. Odnosny paragraf kon-

cordatu, który dotyczy służby osób duchownych w wojsku, brzmi następująco: „ . . . Duchowni, którzy otrzymali święcenia, zakonnicy, którzy złożyli śluby, uczniowie seminariorów i nowicjusze, którzy wstąpili do seminariorów lub nowicjatus przed wypowiedzeniem wojny — będą zwolnieni ze służby wojskowej, z wyjątkiem pospolitego ruszenia. W tym ostatnim wypadku, księża, posiadający święcenia kapłańskie wykończą będą w wojsku swój urząd kapłański, inni zaś członkowie duchowieństwa będą powołani do służby sanitarnej.”

Jeśli chodzi o stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską — to są one też w pełni utrzymane. Ostatni nuncjusz apostolski przy rządzie polskim w Warszawie /do wybuchu wojny/, msgr. Cortesi, przebywa obecnie w Rzymie. Przedstawicielem

Stolicy Apostolskiej w charakterze chargé d'affaires przy rządzie polskim w Londynie jest delegat apostolski na W. Brytanii, biskup Godfrey.

Polski episkopat wojskowy, wkrótce po przybyciu z Francji do Anglii wezwał wszystkich duchownych, służących w wojsku, do zgłoszenia się i wszyscy ci, którzy się zgłosili, a odpowiadali warunkom w myśl brzmienia konkordatu, zostali zwolnieni ze służby wojskowej, inni zaś, zwłaszcza ci, którzy przybyli lub przybywają z ewakuacji — są w toku zwalniania.

O ile powyższe wyjaśnienia są niewystarczające, zainteresowane osoby duchowne służące w wojsku winny zwrócić się do kapelana swego oddziału, lub wprost do kurii biskupa powołanego /adres: Palace Mansion, Palace Street, London, S.W.1./.

Szanowny i Kochany Żołnierzu Polski!

Najserdeczniej dziękuję za obietnicę przesyłania mi „Polski Walczącej.” Choć dostawałem już cztery numery wprost z Redakcji, które, proszę mi wierzyć, czytamy nie tylko z zainteresowaniem, jako pismo o wysokim poziomie moralnym i ideowym, ale wprost wchłaniamy, jak ożywczy napój, każdą jego piórką, przepojoną bezgraniczną miłością do Ojczyzny — myśl.

Nie ma pan pojęcia, jaka szalona jest różnica między tym pismem, a naszymi czasopismami, z których nawet te najlepsze są czasami tak słabe, tak nie przemawiają niczym do duszy, że po przejściu tych ogromnych szpalt, człowiek, miast pokrzepienia, wyczuwa taką pustkę, takie pragnienie czegoś ożywczego, że rzuca zniechęcony te pliki papieru w ką i bierze do ręki po raz nie wiadomo który małego formatu „Polskę Walcząca” i czerpie z niej siłę i wiarę w zwycięstwo dobra nad złem. Takim jest to Wasze bezcenne żołnierskie pismo. To jakby przedświt Nowej Polski, która nadchodzi. Którą Wy z pomocą Bożą wywalczycie i odbudujecie na nowych, grantowych fundamentach, a fundamentem tym będzie odrodzony i przepalony w ogniu nadludzkich cierpień i trudów — Naród Polski, a w Nim ukochana Armia Polska.

W Was, Żołnierze nasi ukochani, utkwiłone są oczy wszystkich Polaków rozrzuconych po całym świecie. Nie na pakt, nie na traktaty, ale liczymy na Was, na moc Waszego ducha, na Waszą gorącą miłość, na niezłomną wolę zerwania kajdan niewoli z Ojczyzny!

Wasza miłość potroi Wasze siły, że nikt Was nie zmoże, nikt Was nie pokona, a Wy, Żelazne Wojsko Marii, będziecie szli krok za krokiem po pałatkach różańca, znaczącego granice Polski ręką naszej Jasnogórskiej Królowej i wyklucicie Polsce takie granice, jakie się jej należą.

Proszę wybaczyć, że pod dyktando serca piszę ten list do pana, ale niech go pan przyjmie jak od matki, która najczęściej sercem się kieruje. Może pan być pewny, że „Polski Walczącej” nie zmarnujemy, swoje numery, jak świętość chowamy, a tamte, damy w dobre ręce.

Niech Pana i Was wszystkich dobry Bóg otacza ojcowską opieką a Michał Archanioł niech stoi zawsze na czele Waszych hufców, aż poprowadzi Was na ostatni zwycięski bój, po którym zatkniecie sztandar swój na Wolnej Ziemi Polskiej.

Zasiłam pozdrowienia z głębi serc naszych.
D. Galińska z rodziną
R.F.D. Princetown, New Jersey.
U.S.A.

Kochany Redaktorze,
Przesyłamy w załączeniu 4 "Money Orders" nr. nr. TN.6335, TP.53950, TL. 31816, TL.31817 na łączną kwotę £116 sh.15 d.3. Składa się ona wraz z sumą £98 ogłoszoną w numerze 10 "Polski Walczący" z dnia 11 marca b.r. na całość wyniku zbiorów, organizowanych przez zespół Czołwki Teatralnej "Lwowska Fala" w czasie przedstawień programu: "Początek końca" w miejscach postoju oddziałów... Dywizji Pancerniej.

Łączna suma uzyskana tą drogą wynosi £214 sh.15 d.3. Złożyli ją i przekazują za pośrednictwem "Polski Walczący" na "paczkę od serca" dla jeńców polskich w Niemczech — oficerowie i szeregowi następujących oddziałów:

- 24.II. 1 szwadron łączności £ 8.19. 7
- 25.II. Kwatery Główna Dyw. Panc. £13. 7.
- 26.II. 11 kompania sanitarna £ 4. 7. 9½
- 27.II. Brygada Strzelców £38. 2. 6
- 1.III. Kompania warsztatowa Br. Strzelców £ 8. 9. ½
- 2.III. Pułk Przeciwpancerny £12.13. 1
- 3.III. i p.a.l. £14.14. 7½
- 4.III. 24 p. ul. £12. 5. 7½
- 5.III. p.s.k. 11 komp. saperów, 11 kompania parkowa saperów £21.10. 5
- 6.III. Batalion broni wspierającej £ 7. 4. 4½
- 7.III. 10 Kompania Saperów, P.S.W.K. Dom Wypocz. P.C.K. £ 9. 9.
- 12.III. Pułk artylerii p-lot. Centrum Wysz. Sap., Komisje Regulamin £50.11. 1
- 14.III. Pułk Pancerny, Szwadron sztab. B.K., 10 Komp. Zaop., 10 Szwadron Łączn. £13. 11

Razem: £214.15. 3

Pragniemy podkreślić, że akcja zbiorowa spotkała się z niezwykle serdecznym poparciem żołnierzy, świadczącym o ich żywym poczuciu łączności z kolegami w niewoli niemieckiej. Przekazujemy im za po-

Na "paczki od serca": £2,449

średnictwem "Polski Walczący" wyraży najszerszego uznania i podziękli. Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

Czołwka Teatralna "Lwowska Fala"

Zbiórka na "paczki od serca" w czasie III. wieczoru autorskiego /Mariana Czuchnowskiego, Ryszarda Kiersnowskiego i Karola Zbyszew-

skiego/ w Klubie "Białego Orła" wyniosła £3.6.6 /słownie: trzy funty, sześć szylingów i sześć pensów/, którą to sumę komisja imprezowa Klubu "Białego Orła" przekazuje.

Por. J. H. ze Sl. za miesiąc sty-czeń, luty i marzec £1 /jeden funt/ na paczki dla jeńców.

Redakcja "Polski Walczący," Przesyłam £3.11.3 na jeńców wo-

jennych. Kwota ta jest pozostałością z drobnych nadpłat przy wpła-caniu na kosztą znaku pułkowego 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Proszę o umieszczenie na liście ofiar.

ppułk. St. St.

Z okazji ślubu kpr. pch. T.P.E. i A.K. przesyłam przekaz na £2.5.0 na "paczki od serca." R.F.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £10,831

Redakcja "Polski Walczący," Z okazji swoich imienin przesyłam na rzecz Polaków w Rosji 1 funta.

Józef S. pchor. /RAF/

Redakcja "Polski Walczący," Zamiast upominka imieninowego dla mego męża Józefa przesyłam 1 funta na rzecz Polaków w Rosji.

Helena S. /WAAF/

Dó Redakcji "Polski Walczący," W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę £1 /jeden funt/ z prośbą o przekazanie tejże na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

Z poważaniem ppor. Stanisław W.S.

PEN Klub Polski w Londynie organizuje w dniu 28 marca b.r. w Ognisku Polskim /45 Belgrave Square/

WIECZÓR AUTORSKI Stefani Zahorskiej.

Czytany będzie dramat p.t. "Smocza 13," osnuty na tle dziejów ghetta warszawskiego. Udział wezmą:

pp. Maria Balcerkiewicz, Miła Kamińska, Tola Korian, oraz artyści wojskowych czołówek teatralnych, których nazwiska podane będą wkrótce.

Opracowanie reżyserskie Szczepana Baczyńskiego.

Za koperty ze znaczkami zagranicznymi otrzymane z redakcji "Polski Walczący" p. X. sh.10 na pomoc Polakom w Rosji.

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie RAF Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu lutym 1944 r. kwotę £8.19.0.

Dowódca Pułku

Redakcja "Polski Walczący," Zawiadamiam, że dnia I.III. r.b. przesyłam M.O. na kwotę £3 sh.10 d.1½ złożoną przez żołnierzy III dyonu z dobrowolnych składek dekadowych w m-cu lutym r.b., z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu kapitan M.K.

ŁAŃCUCH OFIAR Bezimiennie sh.10 /dziesięć szylingów/.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Pracownicy Polskiej YMCA składają za miesiąc luty i marzec 1944 r. £25 /dwadzieścia pięć funtów/ na pomoc polskim dzieciom z Rosji.

Suma £25 /słownie: dwadzieścia pięć funtów/ przesyłamy do Polish Children Rescue Fund.

Łączną sumę zbiórki w dziesięcym numerze £16.9.1½ /słownie: szesnaście funtów, dziewięć szylingów, jeden i pół pensa/ przekazyaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £10,831.18.2½ /słownie: dziesięć tysięcy osiemset trzydzieści jeden funtów, osiemnaście szylingów, dwa i pół pensa/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

PRZECHOWALNIA BAGAŻU DLA WSZYSTKICH ŻOŁNIERZY WOJSK POLSKICH

względnie dla wszystkich innych mających w posiadaniu bagaż żołnierzy wojsk polskich.

Polski Czerwony Krzyż utworzył dla wojskowych przechowalnię ich osobistego bagażu w celu przewozu go do Polski po wojnie. O wszystkie szczegóły należy zwracać się do kierownika pod adresem 15, Rutland Street, Edinburgh /na wprost wjazdu na Princes Street Station/. Informacji udziela także Zarząd Główny P.C.K., 34, Belgrave Square, London, S.W.1, i Delegatura P.C.K. na Szkocję 7 S.E. Circus Place, Edinburgh.

W czasie Koncertu Kapeli Ludowej Jana Rydla zebrano w Klubie "Białego Orła" na "paczki od serca" kwotę £8.7.4 /słownie: osiem funtów, siedem szylingów i cztery pensy/.

Do Redakcji "Polski Walczący," W załączeniu przesyłam sh.3 "Postal Order" przeznaczając je na paczkę dla jeńców W. Polskich, znajdujących się w Niemczech.

Nowak

N.N. sh.9.3 na paczkę od serca we dług załączonego adresu.

Łączną sumę zbiórki w dziesięcym numerze £135.17.7 /słownie: stotrzydzieści pięć funtów, siedemnaście szylingów, siedem pensów/ przekazyaliśmy Sekcji Pomocy Polakom Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £2,449.1.11 /słownie: dwa tysiące czterysta czterdzieści dziewięć funtów, jeden szyling, jedenaście pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 2 dolary amerykańskie.

KOMUNIKATY

Byli żołnierze 36.p.p.L.A., proszeni są o podanie swych adresów, oraz adresów kolegów w niewoli niemieckiej, do Tymczasowego Komitetu Pomocy Jeńcom Kolegom 36.p.p.L.A. — Polish Forces P/50.

Zarząd Związku b. Jeńców z niewoli niemieckiej zawiadamia, iż od dnia 20.III.44 jest czynny stały sekretariat w Polskim Domu Wojskowym /Polish Military Hostel/, 3, Culford Gardens, Londyn, S.W.3.

POSZUKIWANIE

P. SZYMON NEBELSKI, który w 1940 r. został wywakuowany z Francji, proszony jest o podanie swego adresu do redakcji "Polski Walczący", celem przekazania mu wiadomości o matce, przebywającej w Palestynie.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

MARZENIA SCIĘTYCH GŁÓW

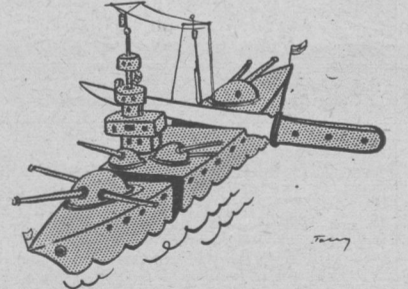


Hitler w oczach optymistów niemieckich... à la Churchill.

AKTUALNA PIOSENKA
Podobno dywizja nowozelandzka spod Cassino adoptowała piosenkę polską. Żołnierze śpiewają:
"Kamień na kamieniu,
Na kamieniu kamień,
A na tym kamieniu
Jeszcze jeden kamień..."

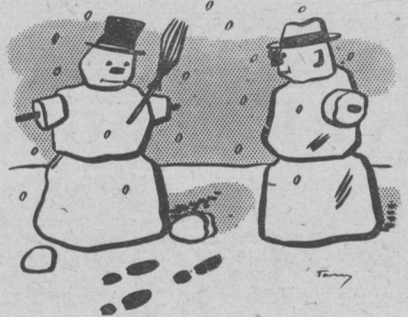
ACH TE SKRÓTY...
—Kapewu Apewu — pyta szef ułana.
—Nie!
—To nie wiecie, że Apewu oznacza Armie Polska na Wschodzie?!

AUTENTYCZNE
Do nowomianowego podporucznika czasu wojny zwraca się goniec:
—Czy mogę mówić z doktorem czasu wojny, podporucznikiem X.?
SALOMONOWE ROZWIAZANIE



Jak mały Morycek podzieliłby flotę włoską na trzy części...

WIOSENNI POLITYCY



—A ja wam mówię, że jak przyjdzie odwilż, to się wszystko zmieni...
—Co też pan plecie, czy pan jest balwanem?!

WTOREK
Rzekł wszechwiedzący kapral, że wtorek na końcu ma mieć "g."
A strzelec rzekł, bo też się zna, że wtorek pisze się przez "k."
Wszedł szef, więc gwałtem ciągnął zeń, co ma na końcu mieć ten dzień.
Dajcie mi słownik — odrzekł ów — w nim jest pisownia wszystkich słów.
Szukał godziny dwie i pół, wreszcie słownikiem wyrznął w stół.
Brak tego słowa — krzyknął szef — nie ma go pod literą "F"!

AKTUALNE POWIEDZONKO
Po przemówieniu Goebbelsa, który pocieszał naród niemiecki, że Niemcy prowadzili już wojnę siedmioletnią potulne szwabę mówią:
—No, jak "blitz'em" zleciał ten piąty rok wojny...

MUSI ODLATAĆ
—Słuchajcie Marchewka, ile lotów już odbyliście?
—Melduję, że 29!
—To świetnie, wobec tego poleciacie mi z listem na pocztę...

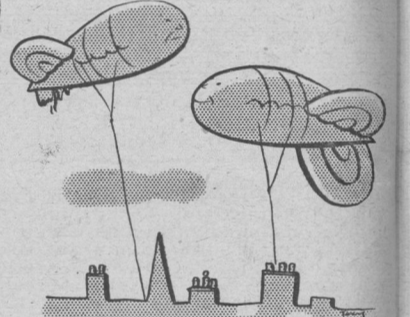
WSRÓD SPADOCHRONIARZY
—Słyszałem, że pan leci na Wschód?
—Tak, do Egiptu.
—A czy do Włoch pan nie poleci?
—Może skoczę sobie tylko tak, na jedną nogę...

BRAK INTERPUNKCJI...
—Pan wie, że wkrótce ma się spotkać Roosevelt z Churchillem?
—W jakim celu?
—Dla uzupełnienia Karty Atlantyckiej. Mają jeszcze postawić kropkę nad literą "i"!

PRZECZUCIE!...
—Moja pani, moja pani, coś mi się wydaje, że to nasze ostatnie święta...



OFIARA NALOTU



—Panie kolego, widzę, że pan stracił ogon!
—Zgadza się! To w czasie ostatniego "blitz'u" na Londyn.
—Od pocisku artyleryjskiego?
—Nie! Sprawcą mojego kalectwa jest pies jednej z ATS-ek...

KATEGORIA "E"
—Ja nie wiem po co jeszcze trzymają w wojsku podchorążego Proteksiewiczza? Przecież to kaleka!
—Kaleka??
—No tak. Ręce, nogi i głowę ma w Szkocji, plecy natomiast w Londynie...

POCIĄG DO ZAWODU
Dziwnie fortuna kołem się toczy: Hitler z wielkiego wodza, staje się znowu malarzem pokojowym.
—Dlaczego?
—Prosi o pokój...

Tekst i rysunki: TONY

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3ins.
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Clients Gain 1 to 6 inches
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
BM/Hyde, London, W.C.1

SPIS RZECZY:
Tadeusz Nieduszyński: Rozbrojenie Niemiec. — Zbigniew Grabowski: Szkie sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Maria Brzeska: Polska żywymi oczami. W domu. — Ze święta Dywizjonu Wileńskiego. — Bolesław Pomian: Piosenki 8-jej Armii. — Eryk Sopoćko: Uzbrojony Kraźownik Pomocniczy. — Julian Ginsbert, Tymon Terlecki: Eryk Sopoćko. — Adam Wojtyga: APEWU /III./ — Poszukiwani. — Wiktor Budzyński: Bez blackout. — Wotum "Lwowskiej Fali". — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — Dla Polaków w Rosji. — Na "paczki od serca". — Tony: Werynajsek. — Fotografie.

Ukaż się
SŁOWNIK WOJSKOWY
ANGIELSKO-POLSKI I POLSKO-ANGIELSKI
opravny w płótno w formacie kieszonkowym.
Zawiera około 16,000 słów i zwrotów, obejmujących słownictwo ogólnotaktyczne i techniczne wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa z uwzględnieniem gwary wojskowej, jak również ordery i oznaczenia polskie i brytyjskie, porównanie miar i wag oraz temperatur.
Cena Słownika: 6 sh.
Słownik można nabyć przez oficera gospodarczego danej jednostki wojskowej lub bezpośrednio w Centralnej Komisji Regulaminowej— Polish Forces P/66—po przesłaniu należności w formie Postal Order (bez wymienienia odbiorcy).

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
zawiadamia o wydaniu następujących podręczników
KS. MGR. C. KRZYSZKOWSKI
"PODRĘCZNIK RELIGII RZYMSKO-KATOLICKIEJ"
str. 286. Cena 4/-
ANATOL LEWICKI
"ZARYS HISTORII POLSKI"
TOM I.
Wydanie nowe, poprawione i uzupełnione przez Dr. J. Jasnowskiego i Dr. F. Lenczowskiego
str. 264 i mapy. Cena 7/-
Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

SŁOWNIK KIESZONKOWY
angielsko-polski i polsko-angielski z wymową, nkaże się 25 marca b.r. Wobec stosunkowo niewielkiego nakładu zamówienia prosimy już obecnie kierować do firmy:
W. FILSKI, 29, BUCKINGHAM PALACE RD., LONDON, S.W.1.
Cena 6/6.